



Exemplarz obywatelski
BIBLIOTEKA

UMCS
LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 14 V 1978 NR 10 (652)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

USŁYSZAŁEM niedawno opinie, że licealne klasy rolnicze (w perspektywie licea rolnicze) to w najlepszym razie droga do kształcenia półinteligentów, a może nawet i ćwierć.

Redukuje się bowiem z programu liceum ogólnokształcącego pewne sprawy całkowicie (jak plastyka, muzyka), ogranicza inne zagadnienia (jak literatura, biologia); wprowadza się wybra-

pracy w gospodarstwach indywidualnych, to w białkopodlaskim bardzo niewiele. Jeśli procent osób z wykształceniem średnim zatrudnionych w rolnictwie wynosi dla kraju 3,4 — to dla białkopodlaskiego tylko 1,8. I tak dalej.

Przy województwie białkopodlaskim zatrzymam się w tym artykule, bo ono dobrze ilustruje sens wprowadzenia klas rolniczych w liceach. A sytuację

DNI KULTURY, OŚWIATY, KSIĄŻKI

I PRASY



Mickiewicz i zootechnika

Maciej Podgórski

ne przedmioty specjalistyczne (jak produkcja roślinna, mechanizacja rolnictwa). Ale ostatecznie maturzysta nie uzyska tytułu i uprawnień technika określonej specjalności rolniczej. Takie ni to, ni owo.

Myślę, że ta negatywna opinia jest w każdym razie przedwczesna, choć z owymi redukcjami i ograniczeniami programu — prawda. Rzecz warta jest obejrzenia na nieco szerszym tle.

Nieszczerólna rysuje się sytuacja z kształceniem ludzi dla rolnictwa, nawet wzięwszy bieżące potrzeby i obecny system oświatowy, który zresztą będzie funkcjonował do 1991 roku. Może dlatego w roku szkolnym 1977/78 wprowadzona została nowa forma nauczania — właśnie klasy rolnicze w liceach ogólnokształcących, choć, oczywiście, braki kadrowe rolnictwa i szanse, jakie stwarza młodzieży rolnictwo, w rozmaitym stopniu dotyczą poszczególnych regionów kraju.

Jeśli na przykład w województwie leszczyńskim bardzo wielu absolwentów techników rolniczych wraca do

wyjściową nieźle scharakteryzuje jedno zestawienie liczbowe. Jeśli przyjąć ustalenia rządowe do układów wojewódzkich, to wychodzi, że co roku w białkopodlaskim powinno się rekrutować około 900 osób do szkół rolniczych dla młodzieży (techników i zasadniczych); natomiast rekrutuje się około 500—600. I w najbliższym czasie nie widać większych szans na poprawę tego stanu, bo za mało odpowiednich szkół i zbyt szczupła baza lokalowa w istniejących (głównie internaty).

A raczej nie widać by było, gdyby nie rekrutacja do klas rolniczych w liceach ogólnokształcących — w bieżącym roku szkolnym przyjęto ponad 200 osób. Szczególnie więc dla regionów zaniedbanych pod względem szkolnictwa rolniczego nowa forma nauczania stwarza dobrą i szybką szansę odrobienia owych zaniedbań.

Jak mnie poinformował kurator

Dokończenie na str. 4

WUBIEGŁYM roku przeprowadzono sondaż opinii publicznej na temat: „Struktura i sieć usług miasta Lublina a potrzeby jego mieszkańców”. Włączając się w nurt kolektywnych poszukiwań najbardziej pożądanym rozwiązaniem uczestnicy seminarium magisterskiego IV-go roku ekonomii UMCS¹⁾ niezbyt jasno uświadamiali sobie — zwłaszcza w pierwszym stadium badań — rozmiary i charakter trudności, jakie będą się wyłaniały w miarę upływu czasu.

Po kilkumiesięcznych studiach nad literaturą przedmiotu — pierwsze zaskoczenie. W dotychczasowym dorobku naukowym odnotowano brak jednoznacznej definicji terminu „usługa”. Teoretycy tej dziedziny zbyt długo pozostawali pod urokiem koncepcji podziału pracy na produkcyjną i nieprodukcyjną. Przy czym ta ostatnia kategoria traktowana jako mało istotna i drugoplanowa nie zwracała uwagi badaczy, ponieważ — jak to wielokrotnie stwierdzano — usługi nie przyczyniają się do pomnażania „bogactwa narodowego”. Logika życia

Dokończenie na str. 4-5

LUBLIN: USŁUGI DLA LUDNOŚCI (1)

Reklamacji nie przyjęto

Zdzisław Grzelak

NIE - broni neutronowej

Walka o pokój trwa

Gabriel Brzęk — wieloletni przewodniczący WK OP w Lublinie

MY, mieszkańcy Lubelszczyzny, mamy szczególny powód do tego, aby jak żrenicy oka strzec pokoju i pokojowego budownictwa, gdyż ziemia nasza pierwsza po 5-letniej krwawej okupacji hitlerowskiej ujrzała przedzierające się ze Wschodu światło wolności i pokoju, i zdobyte te, okupione śmiercią ponad 6 milionów Polaków, ceni sobie ponad wszystko.

W początkowych latach powojennych szerzenie się tej wzniosłej idei pokoju było jednakże w naszym kraju często przez wrogie nam siły kwestionowane, a nawet zbrojnie unicestwiane. Do zwycięstwa sił pokoju w okresie tzw. zimnej wojny walczyliśmy się Światowy Kongres Intelektualistów, który odbył się w sierpniu 1948 r. wśród powojennych zgłiszcz i ruin starożytnego polskiego miasta Wrocławia. Z głosów i uchwał tego Kongresu zrodziła się idea walki o pokój światowy, czyli tzw. Ruch Pokoju, który wbrew szyderstwom sceptyków, wbrew nienawiści naszych rodzimych i zagranicznych wrogów, stał się z czasem potężnym mechanizmem, kształtującym wydarzenia na całym świecie. Ten zapoczątkowany we Wrocławiu demokratyczny ruch w obronie pokoju i międzynarodowego bezpieczeństwa dojrzał w pełni i ukształtował się na skalę światową we wrześniu 1950 r. na I Kongresie Obrońców Pokoju w Warszawie, a zwłaszcza na II Światowym Kongresie Obrońców Pokoju, który odbył się również w Warszawie w listopadzie 1950 r. Utworzona na nim została Światowa Rada Pokoju, która do dziś w zmieniającym się co kilka lat składzie czuwa nad zachowaniem i utrwaleniem pokoju na całym świecie. Ruch ten nabrał szczególnego znaczenia po r. 1950, tj. po wybuchu wojny w Korei i Indochinach, a następnie w Wietnamie. Tę zagrażającą całej Europie pożogę wojenną zgasła właśnie metodą bezkrwawą nasz Ruch Pokoju przez organizowanie na całym świecie

tzw. Dni Pokoju, Marszów Pokojowych, podpisywanie orędzi do najwyższych dostojników państw kapitalistycznych, a zwłaszcza przez I Apel Sztokholmski w r. 1950, który podpisało 500 milionów ludności świata. Organem kierującym tym ruchem była Światowa Rada Pokoju.

W sierpniu 1978 r. minie 30 lat od zawiązania na Kongresie Wrocławskim przez postępowych intelektualistów całego świata, a głównie polskich, ziarna pokoju. Z ziarna tego wyrosło w ciągu 30 lat olbrzymie drzewo, które swoją koroną i kwieciami pokrywało stopniowo cały świat i chroni go, obecnie przed okrucieństwem nowej pożogi wojennej.

Powinniśmy być dumni z tego, że nasza bohaterka, spalona ogniem bomb hitlerowskich, Warszawa, pierwsza otrzymała od Światowej Rady Pokoju zaszczytny tytuł „Miasta Pokoju”, a wraz z tym tytułem pierwsza uzyskała honorową Międzynarodową Nagrodę Pokoju.

W to dzieło zwycięstwa idei pokoju nad przygotowywanym przez naszych wrogów planem III wojny światowej poważny wkład wniosło patriotyczne społeczeństwo Lubelszczyzny. Już jesienią 1948 r. powstał bowiem w Lublinie Wojewódzki Komitet Obrońców Pokoju, którego przez okres ponad 10-letni miałem zaszczyt być przewodniczącym. Moim zastępcą był bardzo ofiarny i całym sercem oddany sprawie pokoju magister farm. Józef Dmowski, kierownik apteki Ubezpiecz. Społ. w Lublinie. Funkcję sekretarza WK OP pełnił kolejno: Stanisław Tarnowski, Marian Kwiatkowski, i Marian Misztal, a funkcje naszych doradców i łączników z KW PZPR — Tadeusz Gwardak, Bolesław Pawlak, a ostatnio Tadeusz Jezłowski. Siłą biurową była Halina Flutka. Ofiarnie współpracowali z Komitetem ludzie różnych zawodów, różnego stopnia wykształcenia i różnej orientacji politycznej, przeważnie bezpartyjni, lecz złączeni wspólną ideą

walki o pokój jako największy skarb ludzkości. Szczególnie utrwalił się w mojej pamięci: księża: prof. Mieczysław Zywczyński, Mieczysław Michalski (Zamość), Stanisław Niedźwiński (Kraśnik), adwokaci: Konrad Bielski, Władysław Korciak, Zieliński (Lubartów), profesorowie: Andrzej Wojtkowski, Stanisław Łoś oraz przedstawiciele innych zawodów: Franciszek Oberda, Targoński, Danuta Mordoń, Józef Trzeźniak (Puławy) i wielu innych. Z wielkim podziwem i szacunkiem obserwowałem np. członka Komitetu Franciszka Oberdę, który będąc inwalidą wojennym, nie bacząc na nieuleczalną chorobę swej żony, przychodził po ciężkiej pracy fizycznej w garbarni niemal codziennie do WK OP i popieranymi, opuchniętymi od garbników rękoma dopomagał nam w sprawach technicznych, z poczuciem wielkiej uczciwości gromadził, segregował i pakował dary społeczeństwa dla walczącej Korei, Wietnamu, nie pobierając przecież za to żadnego wynagrodzenia. My, członkowie Komitetu, wyjeżdżaliśmy prawie każdej niedzieli w teren celem organizowania komitetów i zebrań z naszymi referatami. Jako delegaci Lubelszczyzny braliśmy udział w trzech Polskich Kongresach Pokoju (1950, 1955, 1962), a także w II Światowym Kongresie Pokoju (XI 1950). Należy wspomnieć, że kongres ten miał się odbyć w Londynie i na dwa tygodnie przed otwarciem go Anglia odmówiła przyjęcia niektórych delegacji. Wobec takiego stanu rzeczy Polska przyjęła na siebie rolę gospodarza i dzięki wspólnej pracy aktywistów z całego kraju, w czym także z Lublina, odbył się w niezmiernym terminie wśród ruin i zgłiszcz naszej stolicy Kongres, który zgromadził delegacje z 80 krajów i wzbudził podziw zagranicznych gości dla zdolności organizacyjnych i regeneracyjnych naszego narodu. Udział Lubelszczyzny w walce o utrwalenie pokoju zaznaczył się również w fakcie nadania jednemu z głównych bo-

żowników o pokój, prof. Fryderykowi Joliot Curie z Paryża, doktoratu honoris causa przez Uniwersytet Marii Curie Skłodowskiej. W akwizycję, której miał miejsce w auli Uniwersytetu Warszawskiego, uczestniczyłem jako delegat Senatu Uniwersytetu Przewodniczący WK OP w Lublinie

Tek więc naszą bardzo ożywioną działalnością przewyżczyliśmy zwycięstwa sceptyków liczących na III wojnę światową, a ostalczym naszym zwycięstwem był słynny I Apel Sztokholmski w r. 1950, który podpisała ogromna większość społeczeństwa Lubelszczyzny. Warto jednak podkreślić, że utrwalenie idei pokoju wymagało nie tylko wielkiej pracy propagandowej, perswazyj i poświęceń, ale i ofiar. Przykładem tego niechaj będzie fakt, że w akcji zbierania podpisów pod Apellem Sztokholmskim padło na terenie samej tylko Lubelszczyzny od kul wrogich pokojowi sił trzech działaczy Ruchu Pokoju, kilkunastu aktywistów zostało pobitych, a kilkudziesięciu gospodarzom spalono domostwa.

Działalność Ruchu Pokoju na Lubelszczyźnie była wysoko oceniana przez władze miejscowe i ogólnopolskie, a jeden z aktywistów uzyskał nawet w r. 1968 za tę działalność Medal Światowej Rady Pokoju, wydany z okazji 20-letniej rocznicy jej powstania i zwycięstwa.

Dokumenty tego wspaniałego zrywu naszych serc i umysłów utkwiły głęboko w naszej pamięci. Dlatego też my, dawni działacze Ruchu Pokoju, pomni na poniesione przez Polskę ofiary w II wojnie światowej, wypełniając testament poległych naszych rodziców, braci i sióstr, nie pozwolimy na handlowanie naszym dorobkiem okupionym krwią ponad 6 milionów Polaków i świadomości niszczycielskiej siły zawartej w broni neutronowej, solidaryzujemy się z wszystkimi narodami świata w obronie naszych praw do życia w pokoju, apelujemy do wszystkich miłujących pokój ludzi o zjednoczenie wysiłków przeciw wyścigowi zbrojeń na Zachodzie, domagamy się całkowitego wstrzymania broni neutronowej przez państwa NATO. Pragniemy, aby osiągnięcia naukowe były wykorzystywane do podnoszenia jakości pracy i nie były przekuwane na broń masowego rażenia ludzkości.

Nasze „NIE” wynika z doświadczeń historii

Paweł Dąbek — poseł na Sejm, przewodniczący WK FJN

NARÓD polski należy do tych, które podczas drugiej wojny światowej poniosły największą ofiarę. Polacy pierwsi zmierzili się z hitlerowską machiną wojenną, pierwsi złożyli ofiarę krwi w walce przeciw niemieckim planom podboju świata. Straciwszy w wojnie sześć milionów istnień ludzkich znamy cenę pokoju. Znamy tę cenę tym bardziej, że to na naszej ziemi znajdował się Oświęcim, Majdanek, Sobibór i Treblinka — obozy koncentracyjne i zagłady najsprawniej służące hitlerowskiej idei ludobójstwa, niszczenia wszystkiego, co się sprzeciwiało zasadzie Herrenvolku.

Walczyliśmy o pokój już od pierwszych lat po zakończeniu drugiej wojny. Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju odbył się na naszej ziemi, we Wrocławiu, zgromadził szereg wybitnych osobistości z dziedziny kultury w Europie i na całym świecie. Właśnie stamtąd, z Wrocławia, gołąbek pokoju — symbol stworzony ręką Picassa frunął na cały świat.

Jesteśmy zainteresowani w pokoju na równi ze wszystkimi narodami świata. Jeżeli obecnie pojawiają się ten-

dencje skłonne doprowadzić do zbrojnego konfliktu, jest to sprawą nie narodów, ale grup przemysłowych mających swoje przedstawicielstwa w kapitalistycznych rządach.

Dziwne, że lekcja drugiej wojny światowej nie wpłynęła na orientację ludzi, którzy przypisują sobie przynależność do cywilizowanego świata, ale nie rezygnują z marzeń o rozstrzygnięciu konfliktów między państwami w drodze zbrojnego starcia. Wojna niszczy nie tylko zasoby ludzkie. Niszczy kulturę, niszczy naukę i artystyczny dorobek człowieka, niszczy pomniki architektury, biblioteki i dzieła plastyczne.

W kołach zachodnich wymienia się nowy rodzaj broni: broń neutronową. Ma ona być wolna od barbarzyństwa, jakie niesie z sobą każdy środek unicestwienia. Dziwne, że w drugiej połowie dwudziestego wieku może się odezwać podobna sofistika. Z punktu widzenia człowieka, z punktu widzenia ludzkości żadna broń — a szczególnie masowego rażenia — nie może znaleźć usprawiedliwienia. Nie można mówić o perspektywie trzeciej wojny światowej, a równocześnie pretendo-

wać do miana człowieka kulturalnego, człowieka epoki zdobywania kosmosu.

Niemcy wyszły z wojny pokonane. Pokonane Niemcy musiały przyjąć ograniczenia uniemożliwiające wzrost ich potencjału militarnego. Tymczasem w RFN istnieje Bundeswehra, działają wojskowe szkoły oficerskie, propaguje się nastawienie prohitlerowskie w prasie i filmie. Nie do pomyślenia jest, że po dyskwalifikacji, jaką przeżył naród niemiecki z powodu hitlerizmu, będzie on traktowany jako główna siła europejskiej konfiguracji NATO.

Walcząc o pokój walczyliśmy o ludzkość. Niemożliwy jest rozwój nauki, techniki, gospodarki bez tych warunków, jakie zapewnia możliwość spokojnej i pokojowej pracy. Każdej bombie — bez względu na jej konstrukcję i charakter działania — każdemu środkowi niszczenia człowieka i tego, co ludzkie mówimy „NIE”. Naród nasz należy do tych, które szczególnie dobrze znają cenę pokoju. I nie przestaniemy w jego obronie występować na arenie międzynarodowej. Jesteśmy w tym popieranymi przez wszystkie miłujące pokój narody świata z narodami Związku Radzieckiego na czele.

Życie - wartość najwyższa

Zbigniew Strzałkowski — sekretarz ZO ZLP

SZTUKA, która przemawia do odbiorcy pięknym opisem przyrody, ukazującą szczytne ideały humanizmu i wielkość człowieka, zawsze w sposób jednoznaczny podkreśla, iż życie jest wartością najwyższą. Jest ono dane człowiekowi tylko raz i tej historycznej szansy nie po-

winniśmy zmarnować, lecz spożytkować na intensywną działalność w miarę własnych uzdolnień, możliwości i ambicji. Naczelnym zadaniem człowieka jest poznawanie natury, tworzeniem dóbr materialnych, twórczość i dążenie do doskonałości moralnej. Wszystkie te aspekty egzystencji ludzkiej odnalazł możemy w sztuce.

Poezja jest hymnem na cześć miłości, przyjaźni i piękna, malarstwo — zachwytem nad krajobrazem koloru,

architektura — kompozycją techniczną przestrzeni.

Przez długie tysiąclecia człowiek mozolnie wznosił gmach sztuki, do którego ma prawo wstępu każdy obywatel świata. Każdy też mógł w nim znaleźć dzieło do kontemplacji. Mówiąc różnymi językami — mówimy zawsze o człowieku, o jego odwiecznym marzeniu o życiu w szczęściu. Prawo do tego ma każdy człowiek.

I nagle, w epoce niesłychanego rozwoju cywilizacji technicznej, musimy stanąć w obronie prawa do życia, prawa, które wydawało się tak naturalne i niepodważalne, jak istnienie słońca czy powietrza.

Obrona tego prawa stała się pryncypalnym zadaniem sztuki, która nie

może istnieć bez społeczeństw, wielkich idei, metafor. Szczególnie pisarze polscy, którzy swoją twórczością dali świadectwo okropnościom II wojny światowej, ostrzegali świat przed barbarzyństwem wojny.

Losy mojej rodziny w sposób najtragiczniejszy spłotyły się z historią Ojczyzny. Aby ją mógł przeżyć, musiałem zginąć inni. Aby w pokoju mogły żyć i cieszyć się radosnym dzieciństwem moje dzieci — mówię NIE bombie neutronowej, wyścigowi zbrojeń, totalnemu zagrożeniu strachem psychice ludzkiej. Milionowe nakłady na doskonalenie broni masowej zagłady przeznaczmy na głodujące dzieci w Afryce i Azji, na walkę z analfabetyzmem i neokolonializmem.

PONIEWAŻ nie tylko czternasty pułk ma do zarejestrowania poważne sukcesy, bo batalion szkolny zdobył dworzec towarowy, pierwszy batalion szesnastego pułku wdziera się do kolejnych domów, co prawda nie wsparty przez pozostałe dwa bataliony drepające w miejscu — dowódca dywizji poleca obrócić czternasty pułk o dziewięćdziesiąt stopni. Atakując koszarę, szła na północ, ku morzu. Teraz obracają się twarzą na północny wschód, ku Parsęcie przegradzającej dwa pułki szóstej dywizji — czternasty i osiemnasty.

Nie bez przyczyny zapewne jest tu bardzo ostry, z poprzedniego dnia, meldunek zastępcy dowódcy trzeciej dywizji piechoty majora Bronisława Marczewskiego:

„Przez cały czas dowódca 6 dywizji informował, że jego oddziały posuwają się przy samej rzece na naszej wysokości. Okazało się, że nasze lewe skrzydło zostało intensywnie ostrzelane z zachodniego brzegu. Dowódca 6 dywizji oświadczył, że jego oddziały wcale się tam nie znajdują i że są tam Niemcy”.

Snadź odbyło się solidne mycie głowy dowódcy szóstej dywizji za początkową dezinformację sąsiada, teraz więc, gdy zmora koszar odeszła w przeszłość, próbuje się połączyć działania obu pułków. Przegrodą jest Kanał Drzewny i Parsęta.

Kanał Drzewny ma w tym miejscu około dwudziestu pięciu metrów szerokości. Początek bierze w rejonie tak zwanych „Końskich Łak”. Im bliżej centrum miasta — zjawiają się maleńkie odnogi łączące Kanał Drzewny z Parsętą — Kanał Miedziany, Kanał Fałszywy.

Między Drzewnym a Parsętą znajduje się Wyspa Solna, jedna z najstarszych części Kołobrzegu, wczesnie trafiająca do różnorodnych przekazów historycznych. Już w roku tysiąc sto siedemdziesiątym drugim istniały tu dwie szopy do warzenia soli, w sto lat później — były już wawrzyszca cztery. Kołobrzaska sól znana jest podówczas w Europie.

W dziewiętnastym wieku, w północnej części wyspy wyrósł fort zwany „Shillredoute” od nazwiska dowódcy oddziału w 1807 roku.

W wieku dziewiętnastym i dwudziestym Wyspę Solną dość gęsto zabudowano. W południowej części jest wiele domów, znajduje się tu szpital, a także duże ogrodnictwo miejskie. Na południowym krańcu — młyn i rzeźnia. Dotąd wdzierały się pierwsze radzieckie czołgi, dotąd usiłowali dotrzeć żołnierze osiemnastego pułku w pierwszych dniach kołobrzeskich bojów.

Nie po raz pierwszy Kanał Drzewny i Parsęta stają się przeszkodą trudną do pokonania.

Do Kanału doszli żołnierze włoscy w napoleońskiej służbie, w roku tysiąc osiemset siódmym, po zdobyciu tętni. Stało się to w dniu pierwszego lipca, na krótko przed rozejmem. Gneisenau, chętniej słuchający rad piekielnego staruszka Joachima Nettelbecka umiejętnie bronił miasta przy pomocy... wody. Spiętrzone wody Parsęty, spuszczone ją na łaki, czyniąc Francuzom wstępy w dojeździe do miasta.

Żołnierze Napoleona doszli jednak aż do ujścia Parsęty do morza, odcinając Kołobrzeg od północy. Bliski był wówczas dzień upadku twierdzy; to także jeden z fałszywych mitów, który usiłują szerzyć hitlerowcy „Kołobrzeg nigdy nie był zdobyty”.

„Bleibt immer deutsch” — krzyczy oficjalna goebbelsowska propaganda.

Innego wszakże zdania są coraz liczniejsi jeńcy, przesłuchiwanymi co dnia przez porucznika Wacława Gralewskiego z wydziału rozpoznawczego sztabu szóstej dywizji piechoty.

Wacław Gralewski¹⁾ lubelski dziennikarz i smakosz, kucharz-amator i pisarz, oficer rezerwy — zgłosił się do wojska natychmiast po wyzwoleniu Lublina. Znajomość języka niemieckiego, duże odczytanie, dziennikarska zyka sprawiły, że złapano go jak przysłowiowy diabeł chwytła przysłowiową duszę. I dokument napisze i jeńców przesłucha i dobrą analizę nastrojów wśród wroga przeprowadzi.

To on pierwszy natknął się przed trzema dniami na fakt niezwykły, owych „żołądkowców”. Zeznał wtedy Willy Francke. Jego macierzystym pułkiem był czterdziesty siódmy w trzysta pięćdziesiąt tej dywizji.

— Zachorowałem ciężko na żołądek. Przebywałem w różnych szpitalach. Z ostatniego skierowano mnie do Berlen-Bergu koło Berlina. Okazało się, że tam większość jest takich jak ja. Sformowano z nas batalion forteczny ciężkiej broni maszynowej. Nazwano nas M-batalionem...

— M, to znaczy? — Gralewski w tym miejscu przerywa samorzutną opowieść jeńca.

— Magenbatalion. Żołądkowców.

Oficer polski zaczyna się głośno śmiać.

— I co z wami zrobiono?

— Przesłano do Kołobrzegu. Druga kompania, w której byłem, broniła odcinka między lasem a towarową stacją kolejową. Pomędzy grupy Volksturm wstawiano nasze ciężkie karabiny maszynowe.

— Żołądkowcy... — Jeszcze kręci głową Gralewski.

Napisał o tym meldunek. W tym czasie „żołądkowców” bądź przesłano na inny odcinek, bądź też i w innych batalionach była ta sama zasada rekrutacji, bo i trzecia dywizja, po drugiej stronie Parsęty, zaczyna brać do niewoli „żołądkowców”.

Porucznik Wacław Gralewski ma dzisiaj innych jeńców. Jednym z nich jest Polak z Bydgoszczy, wywieziony na roboty do Niemiec i z początkiem bieżącego roku wcielony do Volksturm, do batalionu Upleggera. Batalion ma cztery kompanie, każda po stu ludzi. Na żołnierza przypadło po sześćdziesiąt naboju do karabinu, ma to mu starczyć na cały czas boju.

Gralewski, który całą okupację przeżył w Lublinie, podejrzewa, że ów jeńca może być volksdeutschem, skuszonym Malinowskim przydziałami w czasie okupacji, a skrucha przyszła dopiero teraz.

Nie czas jednak na deliberacje, bo oto w kolejce czeka następny — Herman Miśchnik, o formalnym przydziale — dziewięćdziesiąty czwarty pułk piechoty. Walczył pod Białogardem, tam ich rozbiło, cofali się w ogólnym kierunku na Szczecin. Tabory pułku, do których on należał, dotarły do Kołobrzegu. No i z nich, wozniców, taborytów utworzono cztery kompanie. Rzuciono ich w rejon Trepowerstrasse i Kamminerstrasse...

Gralewski spogląda na plan miasta.

Gralewski przestłuchiwał jeńców

Alojzy Sroga

Rzeczywiście, jeńca wzięto w rejonie czerwonych koszar. Przeprowadzili go żołnierze dwudziestego trzeciego pułku artylerii lekkiej, z siódmej baterii. Maczał palce w braniu jeńca Władysław Fetela. Ten sam, który poszedł do partyzantki, by „na Niemców nie robić”.

Porucznik Gralewski pisze więc w zakończeniu meldunku o przesłuchaniu jeńców:

„Wniosek — opór nieprzyjaciela słabnie, broni jednak zaciekle swoich pozycji”.

Broni. Między innymi na Kanał Drzewnym i Parsęcie. Zerwał wrog most na Parsęcie w pobliżu rzeki. Następny — na przedłużeniu Langebeckstrasse — dziś Łopuskiego — na Parsęcie stoi, zerwany jednak jest na Kanał Drzewnym.

A czternasty pułk ma rozkaz wyraźny: przejść na Wyspę Solną, dążyć do połączenia się z osiemnastym pułkiem piechoty, działającym na wschodnim brzegu Parsęty.

Muszą więc uchwycić mosty, lub znaleźć inny sposób przeprawy na Wyspę Solną.

Koncept wychodzi od dowódcy pierwszej kompanii fizylierów, podporucznika Stanisława Dzidy, którego skierowano wraz z jego żołnierzami na to zadanie.

Oficer, to nie tylko wielkiej osobistej odwagi, ale na dodatek bardzo konsekwentny w działaniu, wręcz uparty i pełen dobrych konceptów. Przyszedł on do szóstej dywizji z lwowskiej Armii Krajowej. Jego fizylierzy znaleźli kilka byle jakich co prawda, przeciekających, ale jednak — lodzi. Uszczelnili je przed wieczorem, przygotowali dodatkowe małe tratwki.

Nocą jeden pluton, wspierany ciężkimi karabinami maszynowymi, wystawionymi na łodziach w gotowości do strzelania — przepłynął kanał jako mały desant. Wprawdzie w ostatniej chwili Niemcy go wykryli, otworzyli ogień, rzygnęły jednak ckm-y z łódek. Żołnierze już wyskakiwali na brzeg, zarzucili granatami Niemców znajdujących się w okopach. Bystry i mający warszawskie doświadczenia dowódca plutonu podporucznik Zygmunt Wleczorek zastosował mylący wroga chwyt — w różnych kierunkach zaczął wystrzeliwać czerwone rakietki, stając zamieszanie w ugrupowaniu przeciwnika, skutecznie go oszukując co do sił i miejsca lądowania.

I tak to bywa w nocnych bojach: ciemność okazała się dobrym sprzymierzeńcem; Niemcy zaczęli strzelać do siebie. Wylądowały następne dwa plutony fizylierów. Wczepili się mocno w południową część Wyspy Solnej.

Nie koniec jednak zdobyczy terenowych.

Drugi batalion, a właściwie szósta kompania strzelecka z niektórymi plutonami kompanii wsparcia — przegrupowywała się w kierunku mostu.

Minęli po drodze, po lewej stronie, sklep jubilerski. Poniewierali się na ziemi zegarki, kosztowności. Obojętnie na nie popatryli.

— Ot, barachlo, niech leży!

Zatrzymał się na chwilę w piwnicy podporucznik Tadeusz Banasiak.²⁾ Znużony wydarzeniami minionych dni i nocy, nie wiedząc kiedy zdrzemnął się.

Gdy zbudził się, przerażony, osamotniony, uczył lek. Jest sam. A gdzie batalion?

Wyjrzał na ulicę. Poblaski lun płonącego miasta. Ruszył szparko. Widzi sylwetki. Nasi, czy...

Minął z ulgą dwóch żołnierzy, którzy przykucając na papierosa, cicho sobie coś opowiadają.

To braterskie spotkanie dwu Oleksiuków: Stanisława z czternastego pułku i Michała z trzynastego batalionu saperów.

Spotkanie — bardzo nieoczekiwane.

Wszystko zaś wiąże się z chytrym pomysłem chorążego Kalinowskiego, który mężnie i mądrze zastępuje chorego Zdzisława Majewskiego.

Szósta kompania — w tym czasie, gdy Banasiak drzemał w piwnicy — doszła do mostu na Kanał Drzewnym. Uszkodzony. Wprawdzie, kładąc deski można by umożliwić przejście pchnurom, ale co innego zafascynowało chorążego Kalinowskiego. Zobaczył, że wokół mostu przez Parsętę — raptem to około dwustu metrów — trwa dziwny ruch Niemców.

— Jak Boga kocham, chcą sukinyzny most wysadzić!

Przeglądają się owej srogiej krótkie — mówiąc pana Paskowym językiem — żołnierze szóstej kompanii.

— Tak jest, panie poruczniku. Wyraźnie przewody widac.

— Sk... niesie jakaś kostkę. Dynamit czy co?

— Szkoda byłoby mostu.

Kalinowski melduje o apostrophenach dowódcy batalionu. Dać mu drużynę saperów, że dwa cekaemy, i — jeśli Niemcy wcześniej nie wysadzą mostu — pokrzyżować im nocą plany.

Porucznik Jan Nowolarski przyklasnął pomysłowi dowódcy szóstej strzeleckiej, melduje dowódcy pułku, on nie ma przecież swoich saperów.

Sprawa stała się ważna nie tylko dla pułku, ale i dla dywizji.

Z pierwszej brygady saperów już się wysyła patrol, które mają zbadać stan mostów.

Szybciej jednak wydzielono drużynę saperów z trzynastego batalionu saperów, organicznego oddziału szóstej dywizji. Jest wśród nich Michał Oleksiuk. Poszedł na ochotnika zobaczyć, jak most jest załamany do środka. Wrócił, zameldował dowódcy. Stoi grupa żołnierzy z czternastego pułku.

— Dajcie chłopcy papierosa. Palić się bardzo chce.

Wysokie chłopisko podaje mu całą paczkę.

— Weź wszystkie.

— Dobry z ciebie chłop. Skąd jesteś?

— A spod Lwowa.

— Może ze Strzelczysk?

— Ze Strzelczysk. A dlaczego pytasz?

— A nie Józik ty?

— Tak Józik. Franciszek. Skąd wiesz?

— Znani byliście z zabaw. Wszyscy tacy wysocy, zaraz sobie o tobie pomyślałem.

— A ty nie Oleksiuk z Czyżowic?

— Tak. Michał.

— Ta ja twój brata Stanisława, pół godziny temu widziałem, tu niedaleko.

— No to bywaj, ziemiaku. Popatrzę. Może i ja dobry trafunek będę miał.

I oto kucający bracia, popalają papieroska, dzielą się nowinami z domów, wdychają, że ciężko ich kobietom, tam, w domu, bez nich...

A chorąży Ryszard Kalinowski plan wypełnił co do joty. Niemcy zajęci autentycznym forsowaniem fizylierskiego desantu i jego wylądowaniem w południowej części wyspy Solnej przestali zwracać uwagę na żołnierzy — przy zerwanym na kanał moście.

Wtedy przydzieleni saperzy zarzucili most na Kanał Drzewnym deskami, drzwiami i belkami, przeskoczyli wraz z żołnierzami Kalinowskiego i cekaemistami na drugą stronę wody, i nie wdając się w bój z pojedynczymi Niemcami, tkwiącymi w domach na wyspie — prosiutko ruszyli do celu. Do drugiego mostu!

Krótko, gwałtowno strzelanina. Wybita warta wokół mostu. Zerwane przewody prowadzące do ładunków wybuchowych.

Cicho jest z lewej strony, w szesnastym pułku.

W ciągu dnia, najbliższy sąsiad — pierwszy batalion — opanował znów dalsze domy.

To nie tylko Witold Kukotka, dowódca plutonu w pierwszej kompanii strzeleckiej, poczuł ulgę, gdy wydostali się z odkrytej przestrzeni. Rad jest temu i sprytny Bolesław Czajkowski i „gociny” Kazimierz Łęczyński.³⁾ Nabral on dodatkowej ostrożności po swojej wpadce z częstowaniem Niemców kawą. Tu wprawdzie — stwierdza pod wieczór

Dokończenie na str. 12

¹⁾ Po wojnie wrócił do Lublina. Zmarł przed kilkoma laty.

²⁾ Po wojnie pełnił służbę wojskową, jako major, w Lublinie.

³⁾ Obaj poszli do wojska ochotniczo z Lublina. Czajkowski — poległ w Kołobrzegu, Łęczyński — do dziś mieszka w Lublinie.

Mickiewicz i zootechnika

Dokończenie ze str. 1

Henryk Mierziński, w czterech liceach na terenie województwa otwarto klasy rolnicze — w Janowie Podlaskim, Milanowie, Terespolu i Wisznicach. Nie trzeba dodawać, że to miejscowości w okolicach typowo rolniczych, gdyż całe województwo ma przede wszystkim ten charakter.

Decydowały tutaj głównie możliwości zapewnienia praktycznej nauki zawodu dla uczniów klas rolniczych. W Janowie na przykład — bliskość gospodarstwa przy sławetnej stadninie koni, w Terespolu dobra współpraca z wzorowym PGR (Koroszczyn), które zadeklarowało dowożenie uczniów.

Niczego się nie robi na siłę. Początkowo powołano klasy rolnicze przy liceum w Komarówce, ale potem okazało się, że nie ma gdzie przeprowadzać praktyk, i zrezygnowano z pomysłu. No i przecież nie zlikwidowano liceów ogólnokształcących w Janowie, Milanowie, Terespolu i Wisznicach, a tylko wprowadzono tam klasy rolnicze obok normalnych klas licealnych.

Nowa forma nauczania niesie ze sobą bardzo ważny moment psychologiczny i pragmatyczny zarazem. Uczeń klasy rolniczej wie, że stoją przed nim właściwie wszystkie potencjalne możliwości, jakie mają uczniowie normalnych klas „ogólniaka”. Może on bowiem zdawać maturę i starać się na każde studia (choć, oczywiście, najbardziej predysponowany na rolnicze). A przy tym posiada jedną zasadniczą przewagę nad kolegami z tradycyjną maturą ogólnokształcącą — konkretny, acz nie nobilitowany tytułem technika, fach

w rękę, który mu umożliwi nie tylko powrót do taty gospodarstwa z nowymi pomysłami na rolniczy rozwój, lecz także, gdyby ojciec nie akceptował tych pomysłów, natychmiastowe podjęcie pracy w rolnictwie społecznym, gdzie jako wykwalifikowany robotnik rolny z maturą ma szansę szybko zostać brygadystą (tak przynajmniej zapewniają informatory Ministerstwa Oświaty).

Nie musi się więc martwić, co ze sobą począć, gdy po skończeniu „ogólniaka” nie dostanie się na studia. Bo jeszcze przed wejściem zdąży konkretnie popracować i wejść w życie społeczne, a nie tylko wejść do klubu „Ruchu” i narozrabiać. Psychologiczny luz i zabezpieczone tyły Dziewczęta zaś nie muszą wyczekiwać posady w urzędzie gminnym lub odpowiedniej partii.

Owe pragmatyczne momenty społeczne mają tutaj zresztą większe znaczenie niż cała psychologia. Od pewnego czasu wiele mówimy o wyrównywaniu szans między absolwentami szkół wiejskich i wielkomiejskich. Ale obciążenia środowiskowe i odmienność warunków nauki robią swoje, co się ujawnia przy starcie na studia. I tak się składa, że stonkowo mały procent absolwentów po „ogólniaku” wiejskich i małopolskich dostaje się na studia z Janowa czy Milanowa od 15 do 20 procent w latach 1975/76 i 1976/77 (zresztą przeszło połowa absolwentów w ogóle nie starała o przyjęcie); z liceum w Białej Podlaskiej od 50 do 80 procent.

Dopóki będzie taka sytuacja, dopóty przedaję tradycyjnych „ogólniakach” na wsi da się powiedzieć, że kształcą półinteligentów, niż powiedzieć to samo o klasach rolniczych w liceach ogólnokształcących. Nowa forma nauczania oszczędzić może przyszłym maturzystom

rozczarowań i kłopotów po prostu, zawiązanych ambicji choćby. A gospodarce przysporzyć pożytków.

Czytam, co dotąd napisałem, i widzę nawet sprytnie uzasadnienia, ale jeszcze nie wiadomo, czy to jest prawda. I po tę prawdę udałem się do liceum w Janowie, gdzie przyjął mnie dyrektor Maciej Jesionowski, który wprowadził jest polonista z wykształcenia, lecz sprawy rolnictwa leżą mu na sercu, ponieważ parę ładnych lat pracował w znanym technikum mechanizacji rolnictwa w Świdwinie na Pomorzu.

Dyrektor jest entuzjasta klar rolniczych, aczkolwiek grono czuje się nieco zagrożone — plastyk, muzyk, geograf, biolog tracą godziny, muszą uzupełniać w innych szkołach. Sprawa, która należała rozwiązać delikatnie i mądrze. No i jeszcze kwestia prestiżu. Jak to, dotąd się było profesorem w liceum ogólnokształcącym, a teraz w dziwnej szkole mieszanej, rolno-ogólnej? Zootechnika i Mickiewicz łatwiej, choć wcale nie tak prosto, poszło z naborem nowej kadry. Pierwsi nauczycieli przedmiotów zawodowych Przyszli na godziny. Ze stadnin koni (kierownik bukaciarni, świetny fachowiec), SKR, POM, urzędu gminy Uprawy roślin i mechanizacji rolnictwa ucza inżynierowie, reszty przedmiotów zawodowych — technicy z wieloletnią praktyką. Wszyscy mieszkaniowo i rodzinie na miejscu ustabilizowani. To bardzo ważne, bo gdzie inaczej szukać chętnych!

Im nie idzie o te pieniądze, które nie są nadzwyczajne, a raczej nikt w porównaniu z zarobkami w zasadniczym miejscu pracy. Może idzie trochę o prestiż, jak każdemu człowiekowi. Ale przede wszystkim jest to sprawa doświadczenia się dyrektora szkoły z nimi oraz ich szefami. „Zadnych odgórnych dyrektyw nie było w sprawie naboru nowej kadry nauczycielskiej, żadne ogólniejsze porozumienia nie ułatwiały mi sytuacji, która musiałem zasadniczo rozwiązywać we własnym zakresie i przy pomocy władz gminnych” — powiada dyrektor Jesionowski.

Może to i dobrze w epoce mody na porozumienia — owo osobiste dogadywanie się ludzi, którzy potrafili zrozumieć potrzebę sytuacji? Może to i źle — bo w ten sposób powstają dosyć luźne związki i tym ludziom kiedys zechce się powiedzieć: żegnaj szkoła, a ich szefom zechce się nie dać zwolnienia na lekcje? Pocięszam się, że szefom w przyszłości będą potrzebni wykwalifikowani robotnicy rolni z maturą.

Najprościej poszło z naborem kandy-

datów. Podań było 60, a miejsc 44. Mickiewiczowska liczba w klasie rolniczej, a więc może da się polaczyć Mickiewicza z zootechniką! Równocześnie przyjęto 40 osób do normalnej klasy licealnej; ostatni nabór do tej klasy odbędzie się w roku szkolnym 1978/79, ponieważ ta szkoła w przyszłości ma być wyłącznie liceum rolniczym.

Już w tej chwili widzę, że potrzeba pomocy naukowych do przedmiotów zawodowych na 2 miliony złotych biorąc pod uwagę eteroletni cykl nauczania. Ale już w tej chwili kuratorium zaswarantowało przedział na placiki, który zostanie zabroniony jeszcze przed wakacjami (w programie klasy II rolniczej jest nauka jazdy elektrykiem). Istnieją dobre warunki dla praktyk uczniowskich — bukalniana stadnina produkcyjna na ekspozycji do RPN w Włoch; sadz PGR w Cieleńcu; przodkowie POM Janowski. Tutto podrozdziałowe polecała nie wyprodukowała, bo trudno przynależnie żeby ministerstwo nie śledzi i nie wyczerkowało (?)

Pytam o motywacje kandydatów do klasy rolniczej i słyszę w odpowiedzi, że momentem przyciągającym jest możliwość zrobienia matury, otwarta droga na studia, ale zarazem możliwość pracy w przedsiębiorstwie rolniczym, gdzie po dwu semestrach zaocznych w technikum można i tytuł odpowiedni otrzymać, i awans szybki. Wszystko się zgadza.

Ze rolnictwa województwa ogromnej większości indywidualne, więc chłonność rolnictwa społecznego ograniczona a młodzi nie za bardzo chcą wracać do przestarzałych gospodarstw ojcowskich? „Ja bym się tak bardzo tym nie przejmował — powiada kurator Mierziński — Koniec końców zmuszeni będziemy powoływać do życia PGR i spółdzielnie produkcyjne i już dzisiaj trzeba pod te konieczności kształcić kadre, która nawet jeśli stad po części na razie w wiedzy, to po jakimś czasie wróci, jak zaczynała wracać na Lubelszczyźnie ludzie, którzy z niej pochodzą, a na Śląsku wyuczylili się górnictwa”.

Liceum ogólnokształcące im. Marcjalego Nowotki w Janowie Podlaskim ma bardzo piękne tradycje Powstało w 1945 roku na tym terenie, gdzie w czasie okupacji prowadzili ludzie fałszywe nauczanie w polskich szkołach podziemnych. Jednym z takich nauczycieli była Józefa Żelobisz, późniejsza założycielka liceum, odznaczona niedawno Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Obecnie liceum ogólnokształcące przeliczają się w rolnicze, ponieważ takie są właśnie potrzeby tego terenu i ponieważ znaleźli się ludzie, którzy tym potrzebom potrafili sprostać.

Maciej Podgórski

Dokończenie ze str. 1

silniejsza jest jednak od logiki podręczników akademickich. Praktycy, nie dbając o klarowność naukowej definicji, naginali je do potrzeb życia gospodarczego. Z ich punktu widzenia ważne jest, kto świadczy usługi, komu, odpłatnie czy nieodpłatnie, sposobami przemysłowymi czy rzemieślniczymi.

Wielokrotnie próbując wyjść z tego labiryntu, z tego stanu „myśli rozdartej w konkluzjach”, przyjęto na zasadzie kontrpunktu założenia odrębne.

Operacje usługowe są tym, czym są w rozumieniu ludzi, którzy z nich korzystają — konsumentów, klientów czy tzw. „usługobiorców”. Wszyscy oni wiedzą, że usługi są nietrwałe, nie mogą być magazynowane, że odbywają się w trakcie bliskiego kontaktu między partnerami, że wpływają na równowagę rynkową, warunkują zatrudnienie kobiet, wymiary wolnego czasu itp.

Ten „ludowy” punkt widzenia problematyki badań wyznaczał kierunek poszukiwań w trakcie formułowania kwestii szczegółowych wywiadu, którego język i treść zbliżono maksymalnie do doświadczeń i odczuć ludzi pracy. Tego typu perypetie nie kończyły wstępnych etapów prac. Kolejne, niespodziewanie pojawiły się na innej płaszczyźnie.

Próba zdobycia spisu adresów wszystkich mieszkańców Lublina zakończyła się niepowodzeniem. Kilku kierowników urzędu miejskiego sprzeciwiło się tej „niebezpiecznej” akcji. Zdecydowano więc wylosować z książki telefonicznej co czterdzieście nazwisko. Badaniemi objęto 369 osób zamieszkałych w różnych dzielnicach miasta, niestety 58 odmówiło kontaktu, a 43 nie znaleziono pod wskazanym adresem (śmierć, choroba, wyjazd zmiłana miejsca zamieszkania).

Tak więc w orbicie naszych zainteresowań znalazło się 248 osób reprezentujących w 75 proc. różne kategorie zawodowe inteligencji (*), a w pozostałych odsetkach rencistów i emerytów, inicjatywę prywatną i gospodynie domowe. Tej to zbiorowości przedłożono 23 pytania. Zwracały one uwagę przede wszystkim na różne aspekty ocen aktualnie istniejącego systemu usług w mieście. Oczywiście oceny te deformują obraz realiów w trudnym do ustalenia stopniu. Widoczna gołym okiem „inteligencja” próby wykrywała proporcje społeczne, pomijając reprezentantów klasy robotniczej.

Kamena str. 4

Reklamacji nie przyjęto

Nie jest to jedyna ułomność przeprowadzanych analiz. Dostrzeżone już w pierwszej fazie poszukiwań komplikacje obiektu obserwacji nakłaniały do użycia bardziej wyrafinowanych niż wywiad metod i technik opisu faktów. Niestety, do takiego wniosku uczestnicy seminarium doszli zbyt późno.

Zdając więc sobie sprawę z wielu uchybień warsztatowych prezentowanych niżej wyników, traktujemy je jako kolektywny głos w dyskusji o modelu usług w Lublinie. Na wstępie, stosując dyrektywę kolejnych zbliżeń do kwestii najważniejszych, należy zwrócić uwagę nad systemem informacji o usługach.

Wbrew pozorom nie są to zagadnienia marginalne. W okresie gwałtownych przemian społecznych, tworzenia nowych społeczności osiedlowo-dzielnicowych, pełniejszego „oprzyrządowania” gospodarstwa domowego i mieszkania w coraz to bardziej wymyślne aparaty i urządzenia techniczne, które nie zawsze działają sprawnie, pytania: gdzie? kiedy? kto? i za ile może dokonać potrzebnej operacji usługowej? — przestają być retorycznymi. Nie są to hipotezy seminaryjne, ale wnioski wyciągnięte z materiału empirycznego, ilustrują go fragmenty z dłuższych wypowiedzi konkretnych osób. „Jestem zagubiony, nie wiem, gdzie mam się udać w celu naprawienia poważniejszych usterek” (chemik). „Ja nie posiadam żadnych informacji o usługach, informacje muszą zbierać od znajomych” (technik budowlany). „Stwierdzam brak rzetelnych danych o stanie usług w sytuacji awaryjnej” (pracownik umysłowy). „Nie wiem, gdzie znaleźć tapicera, aby naprawić fotele” (pracownik umysłowy). „Mam trudności z informacją o usługach. Muszę szukać danych w książce telefonicznej” (elektrotechnik). „Czuje się zdezorientowana, obecnie szukam stolarki” (modystka). „Widzę brak informacji o usługach odnośnie nowych placówek. Jest za mało ogłoszeń” (pracownik umysłowy).

Aby nie przedłużać przytaczania faktów prawie że jednoznacznych, trzeba odwołać się do danych cyfrowych ukazujących ich rozmiary.

81,5 proc. badanych stwierdziło, że obecny stan informacji o usługach jest niezadowolający. Dlatego 47,3 proc. szuka pomocy u sąsiadów i znajomych, 29,8 korzysta z książki telefonicznej, 17 proc. z ośrodka Wojewódzkiej Usługowej Spółdzielni Pracy, a 16,6 proc. z prasy codziennej.

Wyeksponowany na plan pierwszy sąsiedzko-znajomościowy charakter „pola informacyjnego” jest reliktywnym sposobem zasięgania języka typowym dla stylu życia w małych społecznościach lokalnych, w skupieniach ludzkich o przewadze kontaktów „twarzą w twarz”.

Mieszkańcy Lublina twierdzą, że te kanały informacji dają rozeznanie na ogół wiarygodne i sprawdzone. Co nie jest cechą dominującą oficjalnych. Reklama nie zawsze pokrywa się z faktami. Ogłoszenia prasowe niejednokrotnie wprowadzają w błąd. Ośrodek informacji serwuje wiadomości niezbyt dokładne. Odczuwa się brak wiadomości o prywatnych placówkach usług.

Nic więc dziwnego, że domawano się natarczywie „scalonego systemu informacji”, który by dostarczał wiadomości aktualnych i stale aktualizowanych, rzetelnych, jasnych, i zrozumiałych, aby „odbiorcy mogli odczuwać że usługi wychodzą naprzeciw ich codziennym potrzebom”.

Tak, niestety, się nie dzieje. Oto przykład krzyżowy często podawany. „Był kiedyś zakład naprawy rowerów i motocykli przy ul. Kallnowszczyzna 46. Został zlikwidowany, czy powstał gdzieś nowy, nikt nie wie”.

W trakcie analiz zebranych materiałów, zwłaszcza tych krytycznie oceniających obecny stan usług w mieście niejednokrotnie należało wymierzyć skalę napotykaną trudności. Dotychczas brak „termometrów” do precyzyjnych obliczeń dolegliwości społecznych różnych środowisk i grup. J.

NOTATNIK MUZYCZNY

Stefan Münch

WMARCOWYCH notatkach poświęciłem sporo miejsca estradowemu wykonaniu *Rigoletta* G. Verdiego pod batutą Adama Natanka. Nie wracalbym już do tego tematu, gdyby nie recenzja zamieszczona w nrze 7 *Ruchu Muzycznego*. Recenzent (jk), omawiając pokrótce poszczególne kreacje wokalne, określił wykonawczynię partii Gildy (Janina Kuszyńska) mianem rewelacji i przypisał jej „czysty, dźwięczny sopran o doskonałe osadzonej koloraturowej technice oraz imponującą mocnych i pewnych wysokich dźwiękach”. Czyżby więc, nieznana dotąd, polska Lily Pons? Niestety, w rzeczywistości koloraturowa skala p. Kuszyńskiej była dość wątpliwa, zaś dźwięki wysokie realizowała może i mocno, ale na pewno z widocznym wysiłkiem i nie zawsze czysto — dlatego chyba wolą zrezygnować z części ozdobińców w arii *Caro nome* niż wykonać je w sposób drażniący nerwy słuchaczy. Wyjątkowo delikatnie potraktował też jk Henryka Kosmowskiego — „zdrowym, mocnym tenorem obdarzonego” — pomijając fakt, iż każdorazowe „wejście” Księcia budziło ogólnie mówiąc, mieszane uczucia audytorium.

Ruch Muzyczny jest jedynym w naszym kraju poważnym piśmie z tej dziedziny sztuki, docierającym także i do nieprofesjonalnych czytelników. Informacje o życiu muzycznym Lublina pojawiają się na jego łamach niezbyt często, ale zawsze odznaczają się kompetentną i obiektywną oceną podejmowanych w naszym mieście inicjatyw. Recenzja „*Rigoletto*” w Lublinie okazuje się tu wyjątkiem; wyraża aprobatę czy zachwytu w odniesieniu do rzeczy zasługujących na inną wręcz ocenę bardziej szkodzą niż pomagają Filharmonii, wykonawcom, wreszcie i krytykowi (cenionemu przecież),

którego refleksje mogą u osób pamiętających omawiany koncert wywołać dziwne doprawdy wrażenie.

Powróćmy jednak do spraw bieżących. Pierwszoplanowym wydarzeniem muzycznym marca był moim zdaniem koncert mozartowsko-beethovenowski z udziałem pianistki Ewy Bukojemskiej i klawirzysty Andrzeja Mazura. *Koncert fortepianowy Es-dur op. 73* Beethovena wyznacza szczyt możliwości tej formy osiągalny w ramach estetyki klasycznej. Kompozytor uzyskał tu mistrzowską równowagę elementów symfonicznych i wirtuozowskich, tworząc dzieło nawiązujące do tzw. koncertów wojskowych, odznaczające się zatem prostą, marszową rytmiką, żywością motywów i jakby przytłumieniem żywiołu lirycznego. Słuchając gry Ewy Bukojemskiej (laureatki m. in. konkursu w Barcelonie i nagrody im. Lili Boulanger) nasuwało mi się mimowolnie porównanie z interpretacją tego koncertu, jaką zaprezentował przed rokiem w Warszawie Claudio Arrau. Oczywiście nie idzie i tu o proste zestawienie młodej, utalentowanej pianistki z wirtuozem, od lat uznanym za jednego z najlepszych na świecie. Zarówno Bukojemka, jak i Arrau nie mogą zaliczyć „Koncertu Cesarskiego” do swoich „specjalności” — subtelność i romantyczność ich gry przywodzi na myśl raczej *Koncert G-dur*, gdyby przy Beethovenie pozostał chilijski pianista był wszakże świetny i w *Koncertcie Es-dur*, ujmując słuchaczy pięknocią tonu, poetyckim liryzmem *Adagia* i błyskotliwością finałowego *Ronda*. Tymczasem wykonanie Bukojemskiej, aczkolwiek technicznie bardzo poprawne, było momentami zbyt oschłe i bezosobowe, w mało wyrazisty sposób eksponujące zamysł interpretacyjny. Znakomicie wypadł natomiast Andrzej Mazur w *Koncertcie klawirowym A-dur K.V. 622* Mozarta. Jego wykonanie, mi-



Fot. L. Leo

Figura i Koncertu fortepianowego Es-dur K. V. 482 Mozarta, Ewa Michnik, jedna z niewielu w Polsce dyrygentek.

Do pełnej satysfakcji zabrakło jedynie rozumiejącej współpracy solistki *Koncertu Es-dur* — Marie-Antoinette Pictet. Pianistka ta, uczennica m. in. Nikity Magaloffa, wedle zamieszczonej w programie informacji zaliczana jest we Francji do grona wyróżniających się interpretatorów muzyki salzburskiego mistrza, czego dowodem kilka płyt z jego sonatami. Tego wieczoru na lubelskiej estradzie nie była najlepiej dysponowana, prezentując mierne umiejętności techniczne i nie reagując w dodatku na wskazania dyrygentki.

Marzec był w ogóle dobrym miesiącem dla orkiestry. Witold Krzemiński, dyrygent o wyjątkowej kulturze i muzycznym smaku, stworzył porywającą kreację *Kaprysu hiszpańskiego op. 34* Rimskiego-Korsakowa, przy czym najefektowniej wypadło finałowe *Fandango*. W programie znalazły się ponadto: *Koncert na dwa fortepiany i orkiestrę* Poulenca (solisci: Katarzyna Popowa-Zydroń i Jan Kulesza), *Mona Lisa Gioconda* L. Różyckiego oraz dzieło budzące spore wątpliwości natury artystycznej — kompilacja fragmentów suit i koncertów Jeana-Philippe'a Rameau, dokonana przez Felixa Mottla i obdarzona tytułem zapożyczonym od jednego z ballets héroiques — *Les Indes galantes*, przejaw XIX-wiecznej tendencji do „wzbogacania” starej muzyki.

Nadchodzi wiosna, a wraz nią zapowiadane są nazwiska dużej rangi: Moreira Lima, Swann, Indjic, Szafran... Będzie więc kogo posłuchać, o czym z przyjemnością państwa informuję.

strzowskie zarówno w kantylenie, jak i w technicznych figuracjach (zwłaszcza w cz. III — *Rondo Allegro*) znamionowało nie tylko opanowanie możliwości, jakie daje instrument, ale i głębokie zrozumienie Mozartowskiego stylu. Podkreślić tu trzeba udział, jaki w sukcesie Andrzeja Mazura miała orkiestra, niezawodnie prowadzona przez Adama Natankę — szczególnie w początkowym *Allegro*. Należy mieć nadzieję, że kompozycje na klawir i orkiestrę częściej będą w repertuarze Filharmonii.

Równie interesująco zaprezentowała się w programie, złożonym z suity baletowej *Ognisty Ptak* Strawińskiego oraz uwertury do *Wesela*

Galbraith w jednej ze swoich publikacji postawił prowokujące pytanie — niestety bez odpowiedzi — co bardziej boli: czy brak chleba, czy to, że sąsiad kupił sobie nowy model samochodu? Dlatego też poruszając się po omacku w gąszczu przeszkód i trudności powodujących niepożądany stan rzeczy w sferze usług, wydaje się, że brak informacji — który jest czymś sporadycznym a po jej zdobyciu nieistotnym — jest kłopotem słabiej odczuwalnym, mniej dotkliwym niż nekające przez dłuższy okres niezaspokojone potrzeby sfery podstawowej, elementarnej tzw. „niższego rzędu”. Inaczej bowiem są rozmieszczone w obydwu dziedzinach tzw. „progi bólu” społecznego.

Więcej niż 4/5 badanych napotyka trudności w sferze usług osobistych. Prym wiodą tu krawieckie 51,6 proc. i kolejno: pralnicze — 25,6 proc., jubilerskie — 20,5 proc., fryzjersko-kosmetyczne — 20,1 proc. i tyleż samo kuźnierskie.

Tak więc niespodziewanie wyłonił się główny „zawalidrog” w sferze usług osobistych — cech krawiecki. Wokół niego spierają się fakty różnorodnej natury ekonomicznej i socjologicznej. Niewielka podaż gotowych ubrań często nie odpowiada ich w pełni wymaganiom klienta krzyżując się z silnymi aspiracjami, „aby być dobrze ubranym”.

Ten zbieg okoliczności spowodował stan obłąkania społeczno-pracowni krawieckich. Technik budowlany zastanawiający się nad tym zjawiskiem doszedł do wniosku, że „punkty krawieckie specjalnie stwarzają tzw. sztuczny tłok, aby w ten sposób podnieść cenę usługi i otrzymać dodatkową opłatę”.

Trudno zweryfikować powyższą diagnozę przy pomocy technik zastosowanych w sondażu. Możliwa jest tylko prezentacja kolejnych zarzutów sformułowanych wobec „mistrzów igły i nitki”. Wydułony okres oczekiwania; „czekanie, czekanie i jeszcze raz czekanie, pójdzie się w lutym to w kwietniu można dopiero przynieść materiał” (księgowia). Stosunkowo wysokie ceny, które były akceptowane przez zbiorowość ludzi osiągających dochody ponad 4500 zł na jednego członka rodziny.

„W stosunku do mojej renty (1900 zł) usługi krawieckie są dla mnie za drogie. Korzystam z nich sporadycznie w sytuacji, gdy nie mogę wielu gotowych rzeczy kupić dla siebie w handlu”. Krytykowano również niechętnie przyjmowanie przeróbek, drobnych napraw, lekkiej konfekcji. „Skrócenie płaszcza. Krawiec prywatny nie chce się zgodzić na taką usługę, bo mu się nie opłaca, w spółdzielni również nie chcą tego wykonać” (pracownik umysłowy). A propos. Placówki uspołecznione

niechętnie szją z materiałów przyniesionych przez klienta. Preferują szycie z własnych, ponieważ koszt tych materiałów wliczanych do ceny usług powiększa ich obroty.

Tak więc przedstawiony splot przyczyn wywołuje różnorodne reakcje łańcuchowe, między innymi niską jakość świadczonych usług. „W Gracji szylam kostium. Po 3-miesięcznym okresie szycia okazało się, że jest źle uszyty. Chcąc złożyć reklamację dowiedziałam się, że pani, która wykonała usługę, obecnie jest na urlopie. Reklamacji nie przyjęto. Okres gwarancji minął. Został bubel i złe zdanie o tymże punkcie” (ekonomistka).

Pomijając zarzuty lżejszego kalibru — brak krawców dla dzieci, porad w wyborze materiałów — czas przytoczyć globalną ocenę przekazaną przez kobietę-technikę.

„Zakłady usługowe krawiectwa nie świadczą usług dla klientów w pełnym słowa tego znaczeniu. Niechętnie przyjmują materiały powierzone do realizacji usług, wyznaczając długi termin. Posiadają one mały wybór tkanin i materiałów, a te, które leżą na półkach, są nieatrakcyjne kolorystycznie, często złe gatunkowo, stąd też nie zadowolają klientów. Za mało jest punktów usługowych tej branży w stosunku do liczby mieszkańców. Są trudności z uszyciem sukienki, spódnicy, odzieży dziecięcej, przeróbką ubrań”.

Opisane wyżej sprawy mogą być interpretowane wielorako. Dla nas najważniejszym jest rozpoznanie głębszych procesów wyznaczających taki a nie inny cel dla kolektywnych aspiracji.

Badający zjawiska przyspieszonego rozwoju gospodarczego — m. in. St. Rychliński, J. Fourastier, E. Zahn — udowadniają, że idea „być dobrze ubranym” znamionuje kręgi społeczne optymistycznie nastawione wobec świata, pragnące zmanifestować swoją własną indywidualność, poczucie własnej mocy. Szczególnie w środowiskach miejskich, gdzie teraz codziennie a dawniej odświętnie noszone ubiory wymagają wzajemne przyciąganie, czyli tzw. „socyjalną atrakcję”.

Porzekadło „bliższa cięciu koszula aniżeli sukmana” nie w pełni przystaje w trakcie tego naciąganego porównania rozmiarów trudności krawieckich z pralniczymi. Z wymienionymi jako ostatnie boryka się więcej niż co czwarty posiadacz telefonu — dokładnie 26,6 proc. — i to głównie należące do kategorii zarabiających lepiej, ponad 3000 zł na jednego członka rodziny.

Główne zarzuty wobec tej sfery usług to niedopasowanie punktów usługowych do sieci osiedleńczej, do miejsca zamieszkania, zwłaszcza w nowych

dzielnicach odległych od śródmieścia, i niska jakość wykonywanych prac. „Piorą okropnie, biała pościel nie jest biała po praniu, ale czarna” (księgowia). „Dałam do prania kostium z niewielką plamą, po odebraniu w miejscu zabrudzenia była dziura” (nauczycielka). W trakcie wywiadów domagano się rozszerzenia wachlarza usług. Chodziło tu o czyszczenie futer sztucznych, puchowych śpiworów, odświeżanie kożuchów i skór, czyszczenie dywanów nową technologią, jak też wprowadzanie przez pralnie praktyki odbioru i dostaw do domu.

Co piąty obywatel wylosowany w naszej próbie zgłaszał pretensje skierowane pod adresem placówek jubilerskich, fryzjersko-kosmetycznych i kuźnierskich. Najwięcej „dostało się” jubilerom. Zmuszają oni swych klientów do długiego wyczekiwania — ponad rok na zrobienie pierścionka — niechętnie przyjmują do naprawy („trzeba jechać do Warszawy”), niektórzy „grzeszą” nieuczciwością.

Kontrowersyjną w świetle zebranych materiałów okazała się kwestia cen za usługi jubilerskie. Dla technika osiągającego dochód 2000 zł na jednego członka rodziny „ceny na wszystkie usługi osobiste poza jubilerskimi są wygórowane”. Przeciwnie dla księgowej (zarobki 4500 zł): „Uważam że ceny za wszystkie usługi osobiste są zbyt drogie, najdroższe z nich to jubilerskie”.

Zakłady fryzjersko-kosmetyczne atakowały głównie kobiety; z innych pozycji wytaczając zarzuty: nie nadążania za modą, załatwiania po znajomości, niskiego standardu wyposażenia gabinetów, nieuwzględniania potrzeb dzieci. Oparł się tej fali krytyki zakład fryzjerski przy ul. Narutowicza, ale „kolejki są tam długie, nieraz trzeba czekać kilka tygodni”.

Sezonowo potrzebne zakłady kuźnierskie też nie umilają życia swoim klientom. Przed wszystkim nie zajmują się „drobnicą”, niechętnie przyjmują kożuchy do renowacji, wyprawiają skórki, obszywają sztucznym tworzywem, ponieważ jak stwierdzono „opłaca im się bardziej szycie futer do sklepów”.

Zdzisław Grzelak
Dokończenie nastąpi

¹ Prezentowane wyniki oparte zostały na pracach magistrów następujących autorów: Tadeusz M. Czerniec, Maria Derylak, Teresa Fos, Ewa Kamińska, Zofia Naruszewicz, Maria Zwołńska.

² Urodzony 72, inteligencja techniczna 27, nauczyciele także akademicy 39, inteligencja tw-rcza 19, wymiar sprawiedliwości 9, wojskowi 6.

RYSZARD KORNACKI

MIASTO MOJE

Z cyklu: Lublin

wykołysał mnie Lublin
zapisal
Stare Miasto
nie dźwięczy nie dzwoni
jak cisza

czasem po kątach tylko
po wąskich uliczkach
ostatni chochol brzożowy
wlecze się skrzypek
wieczorny
jak latarnia

Czechowicz często tu siada
w bramach na mostach
wiąże opatrność słowem
czarodziej —
znaki i miły składa

ale dziś domy i dachy
z posrebrzanej księżycem blachu
nieposłuszne wieżycę
popatrz —
polazły jak pająki
na twoje pagórki i łąki

mistrzu

RZECZ W TYM

rzecz w tym
by
nie być powtórzeniem liści
powielaniem drzewa
glaskaniem świata

rzecz w tym
by
nie być musztardą po obiedzie
echem przebrzmiałym
odbiciem kształtu
obrazem rzeki idącej niezmiennie

rzecz w tym
by
śpiewać czas odmiennie
w tonacji innej niż spokojniak
co portfel swój utyka skrzętnie

niż cały chór z felerem gardel

i nic z was we mnie
moi mili
pieniacze
kontuszowcy zysku
gadanie wasze puste garnki
półki w księgarniach obciążają
gdy celność słów nie trafia tarczy

i nic z was we mnie moi mili

ODSZEDŁEŚ

Ryskowi L.

otwarty na każdą kropelkę goruczy
powiedz jakim bogom składałeś

czyich słuchasz tajemnic
pod otwartym krzyżem
dokąd patrzysz kogo przywołujesz
na jakim brzegu zbudowałeś przystań
czym słowem mówisz
czym słowem milczysz
jakim słowem jesteś we mnie
żywym

Kamena str. 6

ZNAJOMOŚĆ między mną a Anną Suurną nawiązała się w Lublinie na kursie metodycznym dla nauczycieli szkół polonijnych, gdzie byłam wykładowcą.

Podczas zajęć wyloniła się sprawa podręczników dla uczniów tych szkół i metod nauczania. Doszliśmy do wniosku, że dla lepszego zrozumienia problematyki nauczania języka polskiego w obcym kraju i związanej z tym potrzeby przygotowania materiałów, należy zetknąć się bezpośrednio z nauczycielami języka polskiego i ich uczniami w codziennej pracy szkolnej. A materiały do nauki powinny powstawać przy współpracy obu stron tj. nauczycieli uczących języka polskiego w obcych krajach i metodyków-polonistów w Polsce.

Dlatego też znalazłam się w Szwecji. Anna nie tylko uczy języka polskiego, ale również pomaga uczniom innych narodowości w opanowaniu języka szwedzkiego oraz pełni nieznaną u nas funkcję asystentki, to znaczy w jednej z liczniejszych klas pomaga nauczycielowi w sprawach dydaktyczno-wychowawczych. Ponadto pełni funkcję przewodniczącej Centrum Kultury dla Cudzoziemców w Eskilstunie i zastępcy przewodniczącego Centralnego Ośrodka Kultury dla Cudzoziemców w Sztokholmie. A przy tym ma własny dom, męża (nauczyciela języków angielskiego i szwedz-

Ja
jestem
Polakiem

Helena Meterowa

kiego) dwóch synów-przedszkolaków, z których starszy 5-letni mówi już po polsku.

Już pierwszego dnia zawoził mnie do swojej szkoły w Eskilstunie. Z dumą prowadzi do niewielkiego pokoju, który jest przeznaczony na lekcje języka polskiego (obok mieści się podobny do nauki języka fińskiego dla uczniów fińskiego pochodzenia).

Kilka jednoosobowych stolików, na ścianie mapa Polski, widokówki z polskim krajobrazem, wycinki z miejscowej prasy, przedstawiające uczniów Anny na lekcji. Na półkach kilkanaście książek: polskie czytanki, słownik ortograficzny, pozycje metodyczne. „Mało tego — komentuje Anna — i nie dostosowane do poziomu tych dzieci, za trudne dla tych, które nie znają języka polskiego lub znają słabo, zbyt mało interesujące i atrakcyjne dla zaawansowanych”.

W Szwecji dzieci wszystkich narodowości mogą uczyć się języka ojczystego (dwie godziny tygodniowo) w szkole szwedzkiej, ale o materiały dydaktyczne troszczy się dana narodowość. Wprowadzając lekcje języka ojczystego dla uczniów-cudzoziemców, władze oświatowe kierowały się zarówno względami humanitarnymi, jak też psychologicznymi. Chodzi o to, aby dziecko w początkowym okresie swego pobytu w Szwecji nie czuło się wyobcowane w szkole. Są też tacy, którzy przebywają w Szwecji bardzo często tylko okresowo, by po roku lub dwu wrócić do własnego kraju.

Ale oto dzwonek i wchodzi uczniowie: Romek (10 lat trzeci rok pobytu w Szwecji) i Paweł (12 lat, drugi rok pobytu) o zbliżonym poziomie umiejętności. Prezentacja mojej osoby przez Annę nie wywołuje w nich zainteresowania. Wresz odwrotnie, chcą mi jakby zaimponować nieco lekceważącym stosunkiem do tych lekcji, a swoje braki zatuzować słabą jeszcze znajomością języka szwedzkiego. Spotykam ich jeszcze kilkakrotnie podczas przerw w szkole, wyraźnie są zadowoleni, gdy zwracam się do nich w języku polskim przy innych kolegach.

Po lekcji rozmawiamy o stosunku owych uczniów do nauki języka polskiego. „Stosunek ten przede wszystkim kształtuje się w domu — rodzinnym — wyjaśnia Anna. — Rodzice nie zawsze rozumieją intencje władz oświatowych, troskę o intelektualny rozwój dziecka, którego podstawa jest myślenie bezpośrednio związane z mową; na podstawie znajomości własnego języka dziecko szybciej nauczy się języka szwedzkiego i łatwiej opanuje materiał programu nauczania. Rodzice nieświadomi tego, chcą jak najszybciej nauczyć dziecko języka szwedzkiego. Sami nie znając go dostatecznie, porozumiewają się nim w domu. Wówczas wbrew ich przekonaniu nie przyspieszają opanowania mowy szwedzkiej, czyniąc równocześnie wielką szkodę dla mowy polskiej, która zaczyna się kurczyć i dziecko zamiast dwujęzyczne staje się „półjęzyczne”. I tak Romek po dwu latach pobytu w Szwecji nie umie poprawnie mówić ani po polsku, ani po szwedzku, zapomniał wiele popularnych słów polskich”.

Rzucam okiem na materiały statystyczne nadesłane przez Dyrekcję Szkół Urzędu Imigracyjnego w Eskilstunie. Jakże niepokojąco przedstawiają się liczby: rok 1976/77 — do szkoły podstawowej uczęszcza 906 uczniów pochodzenia polskiego, języka polskiego uczy się 491 uczniów (54,2 proc.).

Można wprowadzić to usprawiedliwić częściowo brakiem nauczycieli, ale chyba przede wszystkim przyczyną tkwi w środowisku rodzinnym, co za chwilę potwierdza następna lekcja.

W czasie tej lekcji nawiązuję rozmowę z 15-letnim Sławkiem. Chłopiec żartobliwie opowiada mi, że jego rodzina to „kogel-mogel”: ojciec Polak, matka Estonka, dziadek Rosjanin. — A ty Szwed? — dorzucam mimowolnie. Sławek żachnął się: — Nie, ja jestem Polakiem. — Przyznam, że wstyd mi się zrobiło za tak pochopny wniosek. Prawdziwym Polakiem musi być ojciec, który tak wychował swego syna.

Dzięki wielkiej energii, zdolnościom organizacyjnym, a przy tym poświęceniu własnego czasu Anna umożliwiła mi wizyty w różnych szkołach. Hospituję lekcje języka polskiego w miastach i miejscowościach podmiejskich, z dziećmi i dorosłymi, sama włączam się do prowadzenia lekcji języka polskiego, przeprowadzam rozmowy z nauczycielami.

Nauczyciel to drugi (poza rodziną) czynnik decydujący o powodzeniu nauki języka polskiego i wiedzy o Polsce. Pracuje z zapalem, chociaż w różnych warunkach (np. p. Zofia dla wypełnienia pensum jeździ do kilku szkół). Wydaje mi się, że lekcje języka polskiego dla nich to coś więcej, niż tylko praca zawodowa.

Z Jabłońska, mer filologii polskiej, pracuje codziennie jako urzędniczka do godz. 17-ej, ma małe dziecko, ale chętnie podejmuje się prowadzenia kursu języka polskiego dla Szwedów. Z przyjemnością słucham, podczas jednej z hospitacji, pięknej polskiej mowy młodej nauczycielki i Szwedów, jak „mocula się” z wymowa niektórych naszych spółgłosek. „Nie robię tego dla zarobku, bo potracają mi wysoki podatek, a nie dla przyjemności”, zwierza się nauczycielka podczas przerwy.

Butkirca — mała miejscowość w odległości kilku kilometrów od Sztokholmu. Nauczycielka, która od kilku miesięcy zastępuje koleżankę przebywającą na urlopie macierzyńskim, wita nas serdecznie, z dużym zadowoleniem przedstawia gromadkę dzieci przy nauce, swoje osiągnięcia, przygotowywane materiały dydaktyczne i wreszcie z dumą opowiada o swoim 14-letnim synu, który wprawdzie Polski prawie nie pamięta (9 lat pobytu w Szwecji), a nie doskonale mówi po polsku i z pasją czyta polskie powieści, zwłaszcza z okresu wojen, cieszy się każdym zwycięstwem Polaków i głęboko przeżywa poniesione klęski. Tak, p. Hanna choć z zawodu inżynier, z pewnością już nie opuści szkoły, w której sa lekcje języka polskiego.

Po wizycie w szkole zostajemy zaproszone na dłuższą rozmowę do prywatnego domu p. Urszuli, nauczycielki przebywającej na urlopie macierzyńskim. I już po wejściu zapominam, że nie jestem w Polsce; każdy drobiazg całego wystroju mieszkania to polska sztuka. Dopiero podane mięso renifera przypomina mi, gdzie jestem. Rozmawiamy o trudnościach i potrzebach związanych z nauką języka polskiego na ziemi szwedzkiej.

Wypowiedzi nauczycielek wskazują dwa zasadnicze źródła, z których wypływają ich trudności: mała liczba godzin (dwie tygodniowo), oraz brak materiałów i podręczników. Do nauki języka szwedzkiego dzieci są wyposażone w podręczniki i dodatkowe materiały bogato ilustrowane, w których uczeń może pisać, malować, uzupełniać zgodnie z poleceniem. Polskie podręczniki, przygotowywane dla potrzeb kraju, zawierają długie czytanki, drobny druk, mało ilustracji, bez ćwiczeń dla samodzielnej pracy, nie przyciągają ucznia, a wymagała od niego wiele wysiłku w celu zrozumienia treści tekstu, jak też od nauczyciela dodatkowego nakładu pracy dla uzupełnienia, atrakcyjniejsza ćwiczeń oraz uprzywilejowania i upogodwienia czytanych i omawianych tekstów.

— Chciałybyśmy — dodaje Anna — posiadać opracowania dostosowane do potrzeb naszego czytelnika, potrzeby przeżyć, zaspokojenia ciekawości, emocjonalnego napięcia: o zwierzętach, przygodach, dużo humoru, a przy tym wszystkim o Polsce i jej współczesnych osiągnięciach, jej wielkich miastach, niektórych krajobrazach, historycznych zabytkach i wybitnych Polakach.

— Pragnęlibyśmy — dorzucą ktoś inny — aby wnętrza naszych klas były polskie, a do tego potrzebne są reprodukcje, fotografie, dzieła sztuki ludowej, widokówki i leżące na półce nagrania na taśmie, czy płyty, no które w każdej chwili można by na lekcji sięgnąć.

Wysunięte życzenia znalazły również swoje potwierdzenie u H. Lunquista, tzw. głównego nauczyciela do nauczania języka polskiego w Sztokholmie. Wspólnie zwiedzamy wystawę materiałów do nauczania języka ojczystego różnych narodowości (19). Obejdamy i porównujemy. W naszym stoisku, nawet dobrze prezentującym się przez zaprowadzenie ładnie opracowanych tomów literatury klasycznej i albumu reżyji Wita Stwosza, nie spotkamy żadnych opracowań przygotowanych celowo dla dzieci polonijnych, a tylko znane mi dobrze od kilku lat w szkołach polskich.

W toku rozmowy zastanawiamy się nad sposobami doskonalenia nauczyciela zarówno pod względem językowym, jak też metodycznym. Po kilku latach pobytu za granicą jego język ubożał, wiedza o Polsce pozostaje taka, jaka wywiózł z kraju. Trudności podobna fakt, że w środowisku nauczycieli polskich dale się zauważalny brak kontaktów, których celem byłoby podniesienie poziomu nauczania języka polskiego. Tęże cenią sobie niemiernie możliwość pobytu w Polsce na kursach, jednak nie zawsze mogą z tej formy dokształcania skorzystać.

— Cieszymy się z tego, co już w tym zakresie zrobiono, ale to jeszcze bardzo mało i nie zawsze jest to i nie zawsze jest tak — kończy nasze spotkanie główny nauczyciel do spraw nauczania języka polskiego w Sztokholmie.

Na pewno żądają wiele, ale musimy zrozumieć ich ambicje zawodowe jako Polaków i jako nauczycieli, których wyrazem byłoby stwierdzenie każdego dziecka pochodzenia polskiego: „Ja jestem Polakiem”.

W ROKU 1348, w wieku 30 lat, wstępuje na tron czeski syn Jana Luksemburskiego (po jego śmierci w bitwie pod Greccą) i Elzowey, dziedziczy Przemysławów król Karol IV, postać, która zajmuje niezwykle poczesne miejsce w ówczesnych dziejach czeskich. Praga była wtedy stolicą Korony Czeskiej i Rzeszy oraz ogniskiem dalekosiężnej polityki dynastycznej Luksemburgów. Już sam ten fakt otwiera przed nami znakomite możliwości, tym lepsze, że Karol od pierwszych dni swego panowania dąży do realizacji ambitnych planów uczynienia z Pragi miasta wielkiego, okazałego i promiennego wokół swą kulturą.

Inicjatywy i decyzje Karola IV zapoczątkowały proces nie mający analogii w dziejach ówczesnych miast na naszym kontynencie. Mimo zagrożenia przez szalejącą zarazę, dziesiątkującą ludność Europy pod koniec pierwszej połowy XIV wieku, mimo problematyczności niektórych istotnych przesłanek ekonomicznych, Praga potęgiała i za życia jednego pokolenia zmieniała się w prawdziwą metropolię. Choć sam był inicjatorem i pilnym obserwatorem tego procesu, Karol IV nie rozumiał wszystkich jego pozytywnych i negatywnych konsekwencji dla miasta. Nie sposób wszakże odmówić mu osobistych zasług dla rozwoju Pragi.

O uświetnienie stolicy troszczył się Karol już jako król węgier i tymczasowy wielkorządcza Królestwa Czeskiego. Kiedy w 1333 roku Wacław (dopiero później przyjął imię Karola IV) po dziesięcioletnim pobycie we Francji, Luksemburgu i Włoszech powrócił do Czech, zastał — jak sam mówił: „królestwo tak spustoszone, że nie znaleźliśmy ani jednego zamku wolnego, który by nie był oddany w zastaw ze wszystkimi dobrami królewskimi, tak, że nie mieliśmy gdzie przebywać, jedynie w domach mieszczanskich, jak inni obywatele”.

Nie więc dziwnego, że jego wielkie dzieło architektoniczne — budowlane zaczyna się od rekonstrukcji Zamku Praskiego. Zamek Praski leżał bowiem w gruzach od początku XIV wieku, kiedy to padł pastwą groźnego pożaru. Było więc w najwyższym stopniu rzeczą logiczną, że Karol podjął najpierw odbudowę starej siedziby królewskiej, aby uzyskać dla siebie dostojną rezydencję. Zapewne już na samym początku 1334 roku zaczyna się prace budowlane, których celem jest przede wszystkim budowa nowego pałacu.

Pałac po zakończeniu budowy miał pięć kondygnacji, a kronikarz ówczesny komentuje go jako „nigdy przedtem nie widziany w tym królestwie pałac, który (Karol IV) budował wielkim nakładem według wzoru króla francuskiego”. Potwierdza to w swej książce pt. „Dzieje Pragi” doskonały znawca przedmiotu Josef Janacek, pisząc: „Siła oddziaływania kultury francuskiej,

w której kręgu upłynęły jego dzieciństwo i wczesna młodość, przejawiała się tu szczególnie wyraźnie. Wzorem dla pałacu praskiego był paryski Palais Royal”.

Kolejny obiekt powstaje na Zamku Praskim również na polecenie Karola IV i również jest to krok w pełni logiczny. Jeśli bowiem zamierzał Karol nadać siedzibie czeskich królów wysoką rangę, Praga musiała bezwarunkowo uzyskać uznanie ze strony kościoła. Stało się tak dzięki przemianowaniu biskupstwa praskiego przez papieża na arcybiskupstwo. Z tej okazji Karol IV złożył w tym samym roku katedrę gotycką św. Wita. Dla realizacji tej budowy powołał znakomitego budowniczego francuskiego Mateusza z Arras. Budowa imponującej budowli trwała nie tylko za życia Karola, ale jeszcze przez całe stulecie, a zakończona została dopiero w naszym wieku, w

na i unikalną architektoniczną dominantę.

Jeszcze w latach sprawowania w Czechach rządów zastępczych Karol IV przygotowuje dalszy doniosły akt — założenie Nowego Miasta Praskiego, które wraz ze Starym Praskim Miastem i Mniejszym Praskim Miastem (Mała strona) stworzy na długi okres czasu, bo aż do 1784 roku — trójmiasto. Karol opierał się przy przygotowaniu tego aktu na swej idei stworzenia Pragi jako stolicy rozległego państwa, a w dotychczasowych granicach Praga nie mogłaby pełnić tej roli.

Historyk współczesny napisze na temat tego doniosłego aktu Karola IV: „był on: „wyjątkową monumentalnością i najpotężniejszym dziełem średniowiecznym, które nie ma sobie równego w całej ówczesnej Europie”.

● mówiąc dzisiejszą terminologią, miasto posiadało przed przystąpieniem do jego budowy swój plan terytorialny i program budowlany, a chociaż wchłaniało miejsca zasiedlone już dawniej, budowane było w przeważającej mierze w szerym polu;

● o dalekowzrocznym rozmachu założenia budowniczego świadczy fakt, że nawet po stuleciach pozostawała wielka powierzchnia rezerwowa pod przyszłą zabudowę w obszernych parkach.

● nawet po 600 latach ówczesny Targ Bydłęcy (dzisiejszy plac Karola) i Targ Koński (dzisiejszy plac Wacława) — pozostają największymi praskimi placami, a sam Targ Bydłęcy był wówczas większy niż całe przeciętne średniowieczne miasto wraz z murami obronnymi”.

Swe gigantyczne plany zaczął Karol IV urzeczywistniać dopiero po śmierci ojca. W roku 1347 zapadła decyzja o budowie Nowego Miasta. Uroczysta koronacja Karola na początku września tego roku zainaugurowała nową, wspaniałą epokę, w której Praga była rezydencją cesarską. Żywy ruch budowlany w obrębie Nowego Miasta trwał bezpośrednio pod auspicjami i inicjatywami samego Karola IV. 7 kwietnia 1348 roku Karol IV wydał przygotowywany przez dłuższy czas akt erekcyjny uniwersytetu praskiego, który stał się pierwszym uniwersytetem w Europie środkowej. 10 czerwca tego samego roku położony został i poświęcony przez arcybiskupa Arnista z Pardubic kamień węgielny pod budowę zamku Karlstejn. Był to pierwszy gród zbudowany przez Karola i nazwany jego imieniem. Karlstejn otrzymał szczególne postannictwo; stał się miejscem przechowywania insygnii koronacyjnych cesarstwa rzymsko-niemieckiego, w zamku Karol IV gromadził także wielkie zbiory relikwii, ściąganych z całej Europy.

Na jego polecenie podobne grody zbudowane zostały także w Kaszperku na maszywie Szumawy oraz w Radynie koło Pilzna. W samej natomiast Pradze w obrębie Nowego Miasta z jego inicjatywy wybudowano sześć klasztorów. W latach 1348—1350 wzniesiono długie mury obronne wokół Nowego Miasta i Wyszehradu, który jednocześnie przebudowano. Inspirowany przez Karola IV rozwój Pragi przebiegał po obu brzegach Wełtawy, które od dłuższego czasu łączył jedynie prowizoryczny most drewniany. Dlatego też 9 lipca 1357 roku na staromiejskim brzegu Wełtawy został osobiście przez Karola IV położony kamień węgielny pod budowę nowego mostu (dziś zwanego mostem Karola), którego budowę powierzył Piotrowi Parlerowi; tenże po śmierci Mateusza z Arras przejął budowę katedry św. Wita.

W okresie panowania Karola IV jego cesarsko-królewski dwór spełniał niepoślednią rolę w dziedzinie rozwoju kultury. Na dworze tym, będącym jednym z pierwszych ognisk humanizmu po naszej stronie Alp, przebywali przez pewien czas i trybun ludu rzymskiego Cola di Rienzo, i poeta Petrarca, tu dał się poznać kanclerz humanista niemiecki, mecenas iluminatorów ksiąg, Jan ze Środy Śląskiej; stąd wychodziły zachęty do pisania cennych dzieł historycznych. Pod patronatem dworu rozwiniął działalność znakomity warsztat budowlany i rzeźbiarski Piotra Parlera.

W ogóle należy stwierdzić, że poglądy dworu w istotny sposób wpłynęły na rozwój wszystkich dziedzin życia kulturalnego i naukowego. Sam Karol IV parzył się piórem i bardzo lubił inspirować innych autorów. Dzięki hobby-stycznym, aczkolwiek uniwersalistycznym, zainteresowaniom kolekcjonerskim Karola IV Praga zyskała jeden z najbogatszych w Europie zbiorów prawdziwych i fałszywych relikwii i dzieł sztuki. Za jego przykładem również inne instytucje i osoby prywatne przyjmowały wysokie kryteria artystyczne i estetyczne, uznając je za własne. Dojrzałość cechowała także architekturę, znakomicie dostosowującą się do nowych prądów i odchodzącą od tradycyjnej gotyckiej koncepcji zagospodarowywania przestrzeni.

Największe jednak znaczenie ze wszystkich instytucji założonych w Pradze przez Karola IV miał uniwersytet praski. Statut tego pierwszego w Europie środkowej uniwersytetu wzorowany był na statutach uniwersytetu paryskiego i bolońskiego. Początkowo uczelnia podlegała władzom kościelnym i miała za zadanie przygotowywać przede wszystkim kadry dla stanu duchownego. Jednak niemało od samego początku powstania uniwersytetu (nazwany później im. Karola) rozciągał swe zainteresowania na nauki świeckie. Przybywali doń na studia cudzoziemcy z różnych krajów, mając zapewnione określone przywileje. To właśnie tutaj dostarczano niezastąpionych podnieć ideologicznych i myślowych rewolucyjnym kręgom przedhusyckiej Pragi.

Zycie króla czeskiego i cesarza rzymskiego narodu niemieckiego zakończyło się 5 maja 1378 roku, a więc 600 lat temu. Dzieła zbudowane przez niego służą jednak do dziś, chociaż do innych celów niż to projektował ich założyciel. Decydujące znaczenie posiada fakt, że i dziś są one pełne życia. Stąd 600 rocznica śmierci Karola IV jest sławiona w Czechosłowacji z wyjątkową dostojnością.

Budowniczy czeskiej stolicy

Zdzisław Czaplinski



Karol IV. Obraz Jana Oczka z Własimira (po 1370 r.)

1929 roku. Praga uzyskała jednak dzięki katedrze św. Wita swoją nieodłącz-

LIST Z RZESZOWA

„A szeryf od filmu”

W CZORAJ spotkałem poe. Miał na sobie biały kochan i twarz smutnego, starego psa, a to był wyjątkowo młody poeta. Rozszarpał mi się wiersze, jak zbutwiały, z tamtej jesieni liście. Wyjął szybko kalkulator i liczył głosami: „Upadło mi 1375 złotych, to jest 17 wierszów”. I był tak podobny do buchalcza, że pewna młoda i pączująca wroblem dziewczyna o oczach koloru brzoźnianego miodu

oblecała, że uszyje mu darmowe zarę-kawki.

Czerwona kula wiosennego słońca wpadła w okna zaspanej wieżowca. I był to płonący wieżowiec, lepszy niż w kinie. A wiatr śmiał się i taskał biało-zielone gąłki. A pan pedant, znany niedzielny kierowca, ze scieraczką irchy w ręce pucował swe pielnę w błyszczącym lustrze karoserii.

W DKF „Kłapa” ziewała w kącie miotłka nudy, czasem snoby w futrach na Bergmana wpadły, zjadły, wypadły. I oto WDK wpadł na błyskotliwy pomysł (proszę nie mylić z przedkocią światła), żeby otworzyć bramy studyjnego kina braci uczniowskiej. I sukces. Sala jak ułt Ci młodzi byli sztuki filmowej zgodni, chwata więc pomysłodawcom. Nagana organizatorom: czemu tak długo czekali?

A szeryf od filmu z widmowym uśmiechem głosił już na pierwszej projekcji, że „Widmo wolności” to film wybitny, wielogwiazdkowy, jak koniak z „Pewexu”. Cennym zapak, lecz nie megalomanie. Liczliści pod nosem szemrali, że to chała, z dobrej piekarni, ale z zakaletem. A rodzynki, które tam poupychał Salvatore Dall, są wyschnięte i mała smak gumy. Tu coś z Benlika: „Nieskazonym snobizmem swój własny narzucać — znaczy lustro wielkie kupiła, stała tylko siebie widzieć w nim be-dzies”.

Emeryt B. R. narzeka: „Wiele u nas ludzi, co żyją zupa zardobna, obłoda ją tyż-ką po tyżce, czarną polewkę. Kto ma sus-

ces, ten wróg, wieszają na nim, jak na choince, wszystkie możliwe wady — nie wyłączając własnych — zwyczaj ten pieni się jak ziele paskudne, a chwast nie pchła, nie wystarczy dać mu mechanicznego kłap-sa. Smutnie, zamiast budować socjalizm, niektórzy ludzie trawiają swe mózgi w occie zawiślej. Parę beczek śmiechu im dostarczy, każdemu wydać bon towarowy na szczytę zdrowego szaleństwa. Kto wie, czy nie więcej by tu można zaoszczędzić energii, niż przy przedwczesnym wyłączeniu ulicznych latarni w Rzeszowie”.

Asfaltowe wstałki ulic po zimie się pokręcały, pozapadały. Czasem wjedzie w laską dziurę „maluch” i śladu po nim. A szkoda, bo to przecież „trafiona” produkcja. A edowliecia ślad trafia, bo mu jeszcze „wiosnę teatralną” ulitradli. Nie wiadomo na czyich plecach, której nocy do Krosna zaniesli. Miał Rzeszów rozrywkę godziwą, a atrakcyjną, ostatek się nam jeno plan, żeby dać wiosnę jesienią, a gruszkę posłać na wierzbie.

Zajęcze słuchę — ogrodowy radar wokół willi dobrze zorientowanych plotkarzy — donosiły, że w teatrze już, już coś się dzieć zaczęło, że nowego króla obwołają, że jak nam zagrają, to oby nam się do reszty nie odechciało. Czekamy z utęsknieniem na zmiany — mówi emeryt B. R. — Żeby wpadł do miasta „szalencie boy” sztuka teatralna zarazony nieuleczalnie. Nie wiadomo, jakie biesy użyczy ten teatr. Nawet

jak się bierze za rzeczy szalone, wychodzą zwyczajnie i płaskie. Impotencja tworzący Chałtury? Ciasny staw pełen grubianych karpi, w którym wody tak mało, że się i ruszać nie chce.

Awangardysta jest tu idiotyczny, klasycyzm manieryczny. Oburzonym wyjaśniam: szmerozawolenie jest ciepłem tak błogim, że się w nim łatwo udusić. Otworzyć osna, głęboko oddychać!

Jak obiecałem, ruszam Rjtem w mrowisku. Pora wstać biedni rycerze, miasto czeka na ucztę, teatralną wieczerzę.

W orkiestrach dętych jest wielka siła i urok. Kto styszał, jak dzwiczęta z II Liceum im. Bohaterów Między Gwardii grają „Most na rzece Kwał”, kto widział ich paradny marsz, cudowne nogi! Ten styl, ten syk, ta moc. Może murów jerychonskich te dzwiczęta by nie skruszyły, ale ze serca chłopaków są w niebezpieczeństwie, to pewne.

Żeńska orkiestra dęta to stały element urody miasta, jego nieustająca wiosna. A gra ona coraz lepiej i coraz lepiej wychodzi na kolorowych zdjęciach.

pumex

Jak zostać prezenterem TV?

Mirosław Derecki

NA ekranie kolorowego telewizora pojawia się twarz Majki Brzezinskiej z lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia: *Zaprosiłam do naszego studia panią Elżbietę Sendejewicz, komisarza Festiwalu Kapel i Spiewaków Ludowych w Kazimierzu, żeby opowiedziała nam... Nagle obraz znika, ekran gaśnie...*

— Co się stało? — redaktor Jacek Grelowski z warszawskiej telewizji naciska guzik intercomu łączącego studio z wozem transmisyjnym. — Czy wóz mnie słyszy? Co się stało?

— Napiecie siadło — odzywa się ktoś z tamtej strony przewodu. — Ale zaraz wszystko będzie w porządku...

— To my ten początek potraktujemy jako próbę — mówi reżyser programu, Kazimierz Oracz. I po chwili: — Uwaga, proszę państwa — gramy!

Redaktor Jacek Grelowski: — Wizję prosimy, tutaj do studia!

Jeszcze chwila przerwy, wreszcie głos reżysera: — Zaraz gramy! Proszę...

Majka zaczyna od początku: — *Zaprosiłam do naszego studia...*

Dochodzi dwunasta. Przeglądy miały się zacząć o dziesiątej, pierwsza osoba weszła na wizję z dużym opóźnieniem; coś tam nie grało na planie, trzeba było skorygować światła, siadło napięcie, zanikł obraz, no i proszę przed nami wciąż jeszcze ten sam pierwszy kandydat na lubelskiego prezentera telewizyjnego. A za nim czterdziestoosobowa bez mała kolejka następnymi chętnymi...

Niby nic dziwnego. Mówi się, że praca w filmie to głównie czekanie na odpowiednie warunki atmosferyczne. „W filmie się nie gra, w filmie się czeka”; telewizja ma wiele wspólnego z filmem. Tak więc nie ma co się denerwować. Po prostu mamy w perspektywie przesiedzenie w studio do późnych godzin nocnych...

Wreszcie — koniec pierwszego nagrania. Pani Sendejewicz opowiedziała o kazimierskim festiwalu, reżyser przestał mieć pretensje do kamerzystów, że eksponowane na specjalnych pulpitych fotografie „blikują” (czyli odbijają światło reflektorów), delikwentka oraz jej rozmówcy schodzą zgrzana i spocone z planu — spędzili kilkanaście minut w upale bijącym z nifrafotów, fotolitrów i czego tam jeszcze... A tymczasem pomiędzy studio a wozem transmisyjnym trwa dialog:

— Halo, wóz? Co to były za zaniki dźwięku? Jak to w ogóle wyszło? Zadowolony?

— Taaak... (to reżyser) Tu trzeba by było chyba eksponować tę prowadzącą...

— To ja zaraz do was przyjdę. Ja tam przyjdę... Żeby mi przy odtwarzaniu nie wchodził w cięcie... Aha, jak długie było to nagranie?

— Mamy osiem i pół minuty.

— Aha. Aha. To trochę dużo. Mieliśmy robić po pięć minut na każdego kandydata. No, dobrze. To ja już do was idę...

Lubelska TV szuka Suzina. Pod takim tytułem „Sztandar Ludu” podał w połowie kwietnia wiadomość o eliminacjach na prezenterów telewizyjnych, organizowanych przez Lubelską Rozgłośnię Polskiego Radia wspólnie z redakcją telewizyjnego „Studia-8”. (...) Kandydaci na lubelskich „Suzinów, Wojteczków i Łoski”, którzy pomyślnie przebrnęli przez sito eliminacji wystąpią w konkursie przed kamerami Studia-8. Ich prezentacje, dykcję i zachowanie się w świetle jupiterów ocenić będą przedstawiciele ośmiu ośrodków telewizyjnych.

Podobną wiadomość podał również „Kurier Lubelski”. Do eliminacji zaproszono osoby mogące wykazać się znajomością problematyki społecznej, politycznej i kulturalnej regionu, odpowiednią prezentacją i wykształceniem wyższym. Mogli też startować studenci ostatnich lat studiów.

Tych właśnie — przyszło chyba najwięcej. Choć nie brakowało dyplomowanych polonistów, prawników i socjologów. Stawili się także jeden absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej i jeden magister ekonomii — były nauczelnik gminy. No i było sześćdziesięciu kolegów-dziennikarzy z lubelskich redakcji: z „Kuriera Lubelskiego”, „Sztandaru Ludu” i rozgłośni Polskiego Radia. W sumie — na zebrane informacje w lubelskiej rozgłośni radiowej przyszło pół setki osób, zgłoszono się do eliminacji — czterdzieści, a ostatecznie zdecydowały się na stanięcie przed kamerami trzydzieści dwie osoby.

Zaraz na wstępie poinformowano potencjalnych prezenterów, że: eliminacje mają wyłonić telewizyjnego prezentera a nie — spikera, a więc osobą łączącą w sobie zalety dziennikarza z talentami estradowymi. Ma to być człowiek o ujmującej powierzchowności i sposobie bycia. Musi wykazać swoją osobowość. Technicznie wygląda to tak, że idealny prezenter, to taki prezenter, który mówi przez pięć minut, a wszyscy słuchają, a dopiero potem zastanawiają się, o czym on mówił... Słowem: *emanacja osobowości przed kamerą*. Musi to być również człowiek, który potrafi odrzucić te wszystkie złe nawyki, które cechują wielu prezenterów telewizyjnych. Powinien on budować zdania, formułować myśli i zachowywać się przed kamerami inaczej niż to często czynią profesjonalści, a zwrócić to w sposób niewłaściwy. Osobowość prezentera zadusza się m. in. na umiejętności własnego, niekonwencjonalnego dostrzegania przedmiotów,

spraw, problemów. Żeby to wywoływało podziw wśród widzów: *proszę, taka prośba, zwyczajna sprawa, a jak ona została dostrzeżona, jak zaprezentowana i wyeksponowana!* Na zaprezentowanie wybranego tematu kandydaci będą mieli przed kamerami pięć minut. Temat, oczywiście, każdy musi sobie znaleźć sam.

Nic dziwnego, że wobec takich wymogów i zadań nierzadko podpisany był szczęśliwy, że będzie tylko sprawozdawcą, a nie uczestnikiem eliminacji...

Reżyser Kazimierz Oracz — nazywa się on tutaj „realizatorem wizji”, ma szczególny sentyment do imprezy, która ma doprowadzić do utworzenia lubelskiego „okienka” w „Studiu-8” (Lublin nie byłby w nim zupełnie równorzędny partnerem, bo wszak nie posiada własnego ośrodka telewizyjnego i można by wobec tego mówić raczej o przyszłej nazwie: „Studio 8 1/2” lub: „Studio 8 1/4”), bo sam pochodzi z Lubelszczyzny. Urodził się w Zamściu, dzieciństwo spędził w Krasnymstawie, chodził do gimnazjum im. Staszica w Lublinie i tutaj też ukończył Technikum Sztuk Plastycznych zanim wybrał się ostatecznie na studia reżyserskie do Łodzi. Znamy go jako reżysera telewizyjnego programów w ośrodku TV łódzkim, wrocławskim i — od szeregu lat — w telewizji warszawskiej. Tak się zawsze zaczynało... — mówi Oracz. — *Przychodziło trochę ludzi dobrej woli, zapalonych do pracy telewizyjnej, nie dbających zaraz koniecznie o pieniądze... Tak powstał ośrodek telewizyjny w Łodzi, we Wrocławiu...*

Rozmawiamy o tym w przerwach w pracy, najpierw w niezaplanowanym w lubelskiej rozgłośni radiowej — „studiu telewizyjnym” a później — w zaręczonym, bieżącym magazynie „Mercedes” z napisem: „Telewizja kolorowa” i tablicą rejestracyjną „LUB 335 B”. Lublin nie ma ośrodka telewizyjnego ale ma za to jeden z czterech w kraju telewizyjny transmisyjny wóz reporterski wyposażony w dwa toru kamerowe z kamerami Bosch-Fernseh. Fakt posiadania wozu stawia nasz region w o wiele lepszej „telewizyjnej” sytuacji od wielu innych części kraju i pozwala snuć marzenia o...

Ale na razie wróćmy do rzeczywistości. We wnętrzu wozu jest gorąco i ciasno: konsola dźwiękowa, konsola reżyserska TV, stanowisko rejestracji magnetycznej z Ampexem... Ciasno tutaj realizatorowi wizji przebiegającemu palcami po klawiszach konsoli, „grajacemu” na dwóch małych ekranach dających obraz tego, co widzą kamery, na dużym ekranie pokazującym to, co „idzie na wizję” i na dodatkowym, bocznym ekranie służącym do obserwowania „przetwarzanego”, zarejestrowanego już na Ampexie, materiału.

A ile miejsca ma dla siebie w wozie transmisyjnym ludzie najbardziej mu „przynależni”, ta część ekipy, którą nazywa się potocznie „techniką” w odróżnieniu od „rea-

-ONA, to tak śpi, jak zając pod miedzą. Pracowita jest, ale ją to męczy, bo przy takiej gramadce ile to trzeba się narobić kobiecie, ile nabiegać, by każde dziecko było czysto ubrane, dobrze wyglądało w szkole i na ulicy, żeby grzeczne było przed domem i wszędzie, no i aby nie lękno tak bardzo, jak popatrzy na życie jedynaków. Jedenaścioro, przecież to jest co robić. Gdyby sami chłopcy byli, to by była podwórkowa drużyna piłkarska, ale pięciu chłopców jest i sześć dziewczynek, no i dobrze, że tak jest prawie po połowie. Ja nigdy nie patrzyłem, żeby lepiej myśleć o synach, dla mnie i dla Kazimierza każde, to narzę dziecko jest i nie ma różnicy. W pięćdziesiątym siódmym, kiedy urodził nam się Stach, żona miała dziewiętnaście, a ja dwadzieścia pięć lat. No i był ten pierwszy syn, a zaraz po roku przyszła Ania. Można było powiedzieć: ja mam i ty masz i teraz koniec, ale my dzieci bardzo lubimy, my bardzo kochamy. I tak nam się rozdziły, jak Bóg dał — co dwa lata, co rok, aż w siedemdziesiątym czwartym się zatrzymało, bo już i żony żal, i niełatwo jest żyć, kiedy tyle obowiązków. Tak przychodzili po kolei: Andrzej, Jadwiga, Krzysiek, Elżbieta, Grześ, Piotr, Małgosia, Tereska i na końcu Agnieszka. To jest nasza rodzina. Ale nie wszystka, bo za miastem moja matka Kornelia, co już prawie siedemdziesiąt lat ma i ojciec Mikołaj, który osiemdziesiąt pięć lat — w dobrym zdrowiu uprawia kawałek ziemi. Oni młeli nas czworo i to jest cała nasza rodzina. I dobrze jest między nami, zgoda wielka i miłość, bardzo dobrze, można by powiedzieć.

Słucham pana Aleksandra już po raz drugi. Poprzednio usłyszałem go w jednym z lubelskich klubów, kiedy po raz pierwszy przemawiał publicznie i do sporego grona, w obecności naukowców. Zaproszono matki i ojców wielodzietnych rodzin, aby złożyć im w ten sposób uszanowanie, ale też by się wywiedzieć jakie mają problemy. Pan Aleksander mówił z zapalem i przekonaniem, podkreślał świadomość wyboru modelu rodziny wielodzietnej. Wy-

rażnie było widać, że podnosił jego samopoczucie, iż jego droga życiowa jest akceptowana w tym gronie, bo w jego mieście ludzie ujawniają uczucia mieszane, najczęściej negatywne. Kiedy poszedł do urzędu stanu cywilnego zgłosił urodziny Agnieszki, wiadomość szybko poszła po całym Urzędzie Miejskim. Urzędniczki wyroili się na korytarz, wchodzili pod byle pretekstem do pokoju, w którym dopełniał formalności, aby zobaczyć siłacza. Między sobą różne takie słowa mówiły i śmiały się najpierw ukradkiem, a potem nie potrafiły nawet tego ukryć z jakiego powodu im tał. wesolo.

Gorzko o zachowaniu się ludzi mówił wtedy pan Aleksander i z żalem przypomina spotykane czasem upokorzenia teraz, gdy odwiedzam go w ich mieszkaniu. Po wojnie na tym miejscu były jeszcze baraki po pułku piechoty, a teraz stoja tu duże bloki. Z tych baraków właśnie władze miejskie przeniosły jego rodzinę do czteroblokowego mieszkania, w którym czystość aż lśni, mimo że jestem gościem niespodziewanym. Znać tu wszędzie rękę nieobecnej pani Kazimierzy, znać wpocone w dzieci poczucie porządku i udziału w pracach domowych. Gospodyni wciąż jeszcze nie ma, poszła z Agniesią do kolejki, do jednej, do drugiej, bo trzeba się jednak wystać, aby było co włożyć do tak wielkiego garnka, jaki tu jest potrzebny dla trzynastorga. Sam ojciec rozmawia naszej jest chętny, odczuwa się, że jest głęboko przekonany o słuszności modelu swojej rodziny, że to, co publicznie wyznaje, mówi także w rozmowie w cztery oczy.

— Mówiło się po wojnie, że jest nas mało, w okresie ZMP nauczono mnie dobrze pracować dla kraju. Kiedy założyłem rodzinę, to także pomyślałem, że my możemy się przyczynić, aby nasz naród się rozwinął. Myślę sobie: są dzieci, niech będą. Jesteśmy młodzi, dlatego nie mają być dzieci! Nie zniechęci, bo przecież zapowiedź brzmiała tak, że będą atomowe reaktory, że z ich siły będą produkowane pancerne gołębki, które będą wznadaly człowiekowi bezpośrednio do ręki. No, tak nie jest, ale warunki są inne niż za moich ojców, człowiek wie, że nie zginie, że w naszym państwie otrzyma opiekę, tylko jeszcze w stosunku ludzi powinno się

coś odmienić. Jako tokarz produkcyjny zarabiam mniej więcej tyle, co inni koledzy w fabryce, ale rodzinie dużo pomaga, bo Rada Państwa przyznała po pięćset złotych na każde dziecko, które jeszcze zawodowo nie pracuje, no, to ośmioro i na żonę, razem przybywa cztery tysiące sto siedemdziesiąt złotych. Staszek i Andrzej już pracują, Ania także, ona tak jak Stach łączy naukę w szkole z pracą, to już duża ulga jest, bo ta trójka zarobi na siebie, na ubranie i małe przyjemności, a jeszcze mamie resztę odda, bo tak jest nauczona. I to tak po kolei szkoły będą kończyć i się wyzwalają. Sobie obliczam jeszcze piętnaście lat mozołłów. Jeszcze kilka lat i moja kadencja oj-

Zbliża się południe. Najmłodsze dzieci ubierają się samodzielnie, bo wnet zadzwoni w ich szkole dzwonek, starsze razem lub po kolei wracają, potem pojawia się nawet Ania, która natychmiast w zastępstwie matki obejmuje ster nad tą mnogością młodości, chociaż nie potrzebne są upominania. Wyczuwa się w małych domownikach, jakby już w nich samych zakodowane nawyki do porządku, samodzielności, wzajemnej i zgodnej usługowości. Na tę cechę, na niezwykle dobre wychowanie działwy sąsiadów z parteru zwrócił mi już uwagę przedtem znajomy z wyższego piętra. Jedynacy z tej samej klatki dają swoją obecność bardziej odczuć niż ta jedenastka. Tereska przed



Tadeusz Jasiński

coś odmienić. Jako tokarz produkcyjny zarabiam mniej więcej tyle, co inni koledzy w fabryce, ale rodzinie dużo pomaga, bo Rada Państwa przyznała po pięćset złotych na każde dziecko, które jeszcze zawodowo nie pracuje, no, to ośmioro i na żonę, razem przybywa cztery tysiące sto siedemdziesiąt złotych. Staszek i Andrzej już pracują, Ania także, ona tak jak Stach łączy naukę w szkole z pracą, to już duża ulga jest, bo ta trójka zarobi na siebie, na ubranie i małe przyjemności, a jeszcze mamie resztę odda, bo tak jest nauczona. I to tak po kolei szkoły będą kończyć i się wyzwalają. Sobie obliczam jeszcze piętnaście lat mozołłów. Jeszcze kilka lat i moja kadencja oj-

wyścielem zadaje mi zagadkę, bierze kartkę papieru i ołówek:
*Małe kółeczko, duże kółeczko,
jedno ucho, drugie ucho,
trzy wąski z lewej strony,
trzy wąski z prawej strony,
i ogonek zakręcony...*
ale patrzy na mnie figlarnie i pytająco, ale pewnie nie ma nadziei na moją bystrość, więc dopowiada: i jest kotek tyłem obrócony!
— Istoty ludzkie — snuje swoją myśl ojciec rodziny — są kształtem niemal wszystkie do siebie podobne, ale co jedna inna jest ustroj. I organizm kobiety — u jednej łatwo zostaje matka, a za łatwo, u innej trzeba czekać latami. Ale ta różnica największa jest w ludziach, kiedy patrzy się na charakter. Człowieka wychować, to jest radość duża, ale i wielki wysiłek, wielkie wyrzeczenia. Ale każdy z nas w życiu dokonuje wyboru co będzie w tym swoim życiu robił, co ze sobą zrobi przez te lata, jakie mu przypadają. Jest najpraw-

„Brazylia”: inżynier wozu — Wiesław Olko, realizator reżyser — Maciej Rybicki oraz kierowca, a zarazem operator mikrofonu — Witold Pawlak? Siedzą poskładani we czworu na fotelkach wędlinietych niemal w mrucająca, dzwoniąca elektronicznie wskaźnikami aparatury...
O wiele wygodniej operatorom kamer sprężynietych z wozem transmisyjnym długimi, grubymi węzłami przewodów, często daleko wybiegających w plener... do wnętrza mieszkalnych, fabrycznych, do studio... Przy kamerach, ze słuchawkami na uszach, z mikrofonami sterującymi przy ustach, operatorzy — Bartłomiej Wierczok i Jerzy Prażmowski.

Wszyscy — z Lublina z wykształcenia inżynierowie lub technicy elektroniczni, niektórzy związani już przedtem zawodowo z lubelską rozgłośnią Polskiego Radia, po odpowiednim przeszkoleniu w Warszawie stworzyli ekipę lubelskiego telewizyjnego wozu transmisyjnego. Wiecej kolory punkt charakterystyczny dla lubelskiego ośrodka radiowego: nie tylko własny wóz, nie tylko wyodrebniona redakcja programów telewizyjnych z red. Barbarą Jurkiewicz odpowiedzialną za jej pracę ale również: zaczątek własnej kadry techniczno-realizacyjnej, złożonej z rdcenych lublińców.

— Uwaga, gramy...! Zaraz gramy!
Przed kamerami kolejny delikwent. Praca idzie już coraz sprawniej, coraz mniej przerw i powtórek, coraz mniej nagłych, nieprzewidywanych awarii. Widać, że nie tylko aparatura się „rozgrzała”, ale również rozgrzała się ekipa realizatorska. Nawet startujący w eliminacjach jakby opanowali treść, włączyli się w ogólny rytm pracy. Obserwuję na kontrolnym monitorze ich telewizyjne próby. Siedząca w tym samym pomieszczeniu komisja — Andrzej Szpringer z KW PZPR w Lublinie, red. Tadeusz Thuczkiewicz z lubelskiej rozgłośni radiowej i red. Jacek Grelowski z TV uważają, że niezależnie od tego, kto zwycięży w eliminacjach, już teraz wylania się spora grupa ludzi, którzy mogą stać się wartościowymi współpracownikami Polskiego Radia czy też — programów telewizyjnych o lubelskiej tematyce. Większość potencjalnych prezentatorów przyszła do studia z interesującymi pomysłami, pokazując sprawy i problemy, które właściwie już w obecnym kształcie mogłyby pójść na antenę ogólnopolską. Absolwent prawa okazuje się znawcą spraw wędkarskich, dobrze zapowiadającym się gawędziarzem. Studentka czwartego roku anglistyki przedstawia „program” poświęcony problemom studenckiego klubu narciarskiego „Kandahar”. Student ekonomii wypowiada się ze swadą na temat życia kulturalnego środowiska studenckiego i zarazem zrecenzuje reklamę zorganizowane właśnie „Ekonomalia”. Młody człowiek, który niedługo ukończy Akademię Rolniczą, proponuje temat: „Rola męża i ojca w rodzinie partnerskiej”. Staje przed kamerami wraz z... siedmiomiesięcznym synem, którego wychowuje właściwie sam. Matka dziecka najpierw ciężko i długo chorowała po porodzie, teraz pracuje, żeby zapewnić chleb rodzinie zanim mąż nie zrobi dyplomu. Przystojna polonistka przedstawia swojego męża, muzyka, a inna przystojna polonistka wynalazła Syryczyka, który niedawno przyjechał do Lublina. Student czwartego

roku prawa przyszedł do studio z łyżką, którą jego ojciec jadł w obozie koncentracyjnym. Jego opowieść, ilustrowana dokumentami, jawi się jako materiał na ciekawy reportaż historyczny. Doskonale wrazenie robi grupa czterech studentek ostatniego roku sekcji filologii romańskiej UMCS, które przeprowadziły swojego wykładowcę, Francuza, zarazem reżysera studenckiego teatryku romanistów.



Przed próbą kamerowa. Jan Nowacki z lubelskiej rozgłośni radiowej i kandydatki na prezentarki



Zaraz „gramy”. Red. Jacek Grelowski (z prawej) ze Studia 8

Fot. M. Trembecki

Potrąfiły zaaranżować, lekki, dowcipny, inteligentny „show”, w którym zaprezentowały nie tylko wdzięki i wrodzone chyba obycie przed kamerami, ale również swoje umiejętności lingwistyczne i translatorckie. Wreszcie — młodzi lubelscy dziennikarze. Przedstawiali z reguły interesujących ludzi: nestora polskiego lotnictwa, znanego sportowca — championa zawodów go-kartowych, znanego lubelskiego mistrza iluzji.

A jeden z dziennikarzy zaprezentował... własnego psa, nowofundlandzkiego imieniem Patrik.

W sumie — eliminacje stały się interesującą — choć wewnętrzną i roboczą — imprezą dla tych, którzy mogli ją oglądać. Z jednej strony okazało się, że zaskakująco dużo osób reprezentuje wcale niezły poziom „telewizyjny”, niewiele nieraz odbiegający od tego, co widzimy na małym ekranie — co może zresztą równie świadczą na... niekorzyść naszej telewizji. Z drugiej strony łatwo było się przekonać, jak pewne stereotypy myślenia, przedstawiania tematów, zachowania się przed kamerami, jak te telewizyjne stereotypy zakorzeniły się mocno w mentalności, „środkach wyrazu”, czy w sposobie bycia szeregu młodych — pragnących dopiero wstąpić do „zawodu” — ludzi.

Tak czy inaczej, jest powód do zadowolenia, oraz nadzieja, że coraz częściej będziemy mogli tematy lubelskie oglądać na małym ekranie. Mamy duże zainteresowanie tą sprawą lubelskich władz partyjnych i administracyjnych — to im wszak zawdzięczamy m. in. wóz transmisyjny i fakt podpisanie specjalnego porozumienia z przewodniczącym d/s Radia i Telewizji — Maciejem Szczepańskim. Mamy lubelską redakcję programów telewizyjnych z szeregiem naszych radiowych dziennikarzy specjalizujących się w formach telewizyjnych, od krótkich wiadomości poczynając, a na półgodzinnych reportażach kończąc. Ze już nie wspomnę o szalejącym reporterze Adamie Tomanku, który od szeregu lat tkwi na dobre w Dzienniku Telewizyjnym.

Co z tego wszystkiego wyniknie w przyszłości... przyszłość pokaże...

Nagrania zostały zakończone nie w połowie nocy, a około godziny ósmej wieczorem. Materiał pojedzie teraz do Warszawy i tam specjalna komisja rozstrzygnie ostatecznie, kto będzie lubelskim prezydentem TV i który z materiałów zostanie wykorzystany na antenie.

Gasną światła, pustoszeją korytarze i hall lubelskiej rozgłośni, kamerzyści przysiadają nareszcie na krzesłach.

Redaktor odpowiedzialny programu, do wozu transmisyjnego:

— Dziękujemy, koniec.

Realizator wizji, do studio:

— Dziękujemy studio.

de wiele do powiedzenia o młodych, jak nimi kto pokieruje, jaki da im przykład w domu, w rodzinie. Są tacy, co przeskakują jak sroczka z miejsca na miejsce i nie mogą sobie znaleźć celu. Siwizna zaczyna nakrywać, a taki nie nie ma z przodu ni z tyłu. Taka jest rzeczywistość istnienia ludzkiego. Tyle było, przeminęło i my tak samo przejdziemy. Trzeba tylko wytrwale działać i dla pracy w fabryce, i dla domu, dla rodziny. Nie można być ludźmi kolorowego życia. Taka jest prawda. No tak, pan ma rację, nasze życie, gdy się wszyscy zejdziemy, jest kolorowe, bardzo kolorowe. Ale nie o to mi idzie. Życie jest krótkie. Pan sobie wyobrazi morze, fala idzie za falą i znika. Takie nasze istnienia są, fala ludzka za falą, jedna na wierzchu, inna pod spodem, ale przemijała, aż się potem wszystko uciszy. Ważne jednak w jaki sposób człowiek przetrzyma i co od siebie dał dla następnej fali i dla tych, co jeszcze się nie obudziły. Tam, w Lublinie na tym wieczornym zebraniu był tacy, jak i ja z wiełodzielnym rodzin, ale gdyby tak w innym miejscu, wśród tych wyrodnionych i samolubnych przyszło mi mówić, to bym... Powiedziałem swoje, no, powiedziałem, ale ja nie powiedziałem nic, gdybym był w innym miejscu, gdybym to wszystko, co się we mnie na ten temat zebrało, to, co ja myślę wypowiedział, panie, to pan sobie nie wyobraża, co by się działo, niektórym by w uszach zastygło! Tym wszystkim, którzy codziennie się-faliby no świeży kwiat dla zaspokoienia własnych zachcianek, a o swojej przyszłości szcześliwej, a o dzieciach to nie myśla wcale. Co, zmilczęm się? Przeciw takiemu kolorowemu życiu ja jestem.

Ma rozmówca nie zna, oczywiście, powiedów Arystypa z Cyreny, ale programowo, niemal oświeceniście jest przeciwny wszelkim objawom hedonizmu. Nie jest jego głównym celem, a nawet uboższym unikanie przykrości, ani nieszczęśliwe przyjemności, szczególnie te indywidualne, erotyczne, chociaż nie byłby przeciwny, ba nawet widzi za konieczne wyraźniejsze jeszcze pomaganie rodzinie wiełodzielną. Przypomina o niecieraczkach, o kamerach, kłopotach mieszkalniowych dla matych, o ich urządzeniu na całe życie za-

nim przemówiły pierwsze słowa i zapytuje:

— A czemu zapomina się w społeczeństwie o takich rodzinach, jak myśmy są? Że nie od razu się urodziły nasze dzieci, że pojedynczo, że nie ma takiej sensacji na cały świat? Kiedy byłem młodszy, byłem mocniejszy. W fabryce mówią o mnie: dobry fachowiec, dobre oko i ręka u mnie jest i te mikrony trzeba przestępować. O, tu jest dokument i odznaka, że tak jest, jak mówią. Ale fabryka może mnie opłynie, ja nie dożyję tych lat, co ojciec. Oparę się, to wszystko tak z dnia na dzień, człowiek to wdycha i ja czuję się z każdym rokiem słabszy. A ojciec mój wciąż na świeżym powietrzu, las ma w pobliżu, no, on z naturą razem jest i wdycha samo zdrowie. Ja, żeby dorobić, w czasie urlopów, albo w wolne soboty, szukam roboty na dworze, to mi dobrze robi. Jeszcze żadnego roku nie odpoczywałem, na wczasy nie jeździłem, no, bo każdy grosz przy takiej rodzinie jest potrzebny, ale człowiek wracał opalony, jakby zdrowszy, chociaż się napracował.

Dowiaduję się, że Andrzej nie chciał chodzić do technikum, ani do zasadniczej, woli pracować w przedsiębiorstwie budowlanym, nawet wyjeżdżać daleko za miasto.

— Nie zmuszałem do szkoły. Stach sam chciał, Ania i Jadzia również, Krzysiek i Elżunia także mówią o dalszej nauce, najmłodsze — jeszcze nie wiadomo. Niech sobie pracuje na świeżym powietrzu. Andrzej, widzi pan, charakter ma... dobry ma charakter, ale jest taki energiczny i stanowczy. Trzeba z nim delikatnie, bo jeżeli mu się mocno przeciwstawić, to zamilknie i nic nie powie. Był na Śląsku, myślał, że co się tam nauczy, później się przyda w naszych stronach, ale w hotelu mu się nie podobało. Mamusi — powiedział po powrocie — tam wódce chleja — a u nas w domu, to on alkoholu mało widział, tylko jak święta jakieś albo uroczystość. O tej wódce matce mówił, o smieniu papierosów, lacinia — powiadał, to powyżej uszu. On tylko ma takie przysłowie: kurka wodna! a ja znowu: kur zapiał! Można się zdenerwować, ale to nie powód, żeby rzucić mięsem. U nas w domu nikt nie usłyszy przekleństwa, no, bo u nas nigdy nie ma powo-

du — głos mojego rozmówcy wyraźnie się ociepla. — U nas atmosfera jest, no, uszanowanie między nami dobre jest. Charaktery? Co jeden, to inny ma. Od jednego ojca, od jednej matki, ale co jedno dziecko, to inne, odmienne. Władek niskiego wzrostu, a Andrzej z Krzyskiem, co do ósmej klasy chodził, to więksi ode mnie. Zewnętrznie podobni, a z charakterów inni, o, taka wielka różnica między nimi jest! Różni są, ale wspólny mianownik też jest — nie byłbym swoje chwalił, jak sroka ogon — jest on w tym, że potrafił się zgrać. Wartości są — muszę powiedzieć — bardzo wielkie są wartości i nadzieje duże są u mnie. Zbieramy się, o, zbieramy się często, wspólnie radzimy o tym, co trzeba dla rodziny kupić, jak na to zarobić i zaoszczędzić. Dzieci wypowiadają się i człowieka cięż, że one mają dobre wyobrażenie o życiu, o tym, jak trzeba postępować. Jeszcze trochę, jeszcze trochę, no! Syn powiedział! tata kupił motocykl, dwa kółka, to nie dla nas, a Stach mówi: jeszcze trochę, a kupimy Zuka dwunastoosobowego, autobusik nabędziemy, żeby wszyscy razem się zmieścić. Nam wesoło razem jest, a przez to bogato. Jak powiedziałem, czas już mi krótki został, większy wyrok i problem poza mną, ale ja to samo sobie z żoną wybrałem. Chociaż potem Kazia była już za umiarkowaniem, to tylko ja. Winę ściągamy na siebie, tak. W ogóle nie rezygnuję, jestem tego zdania i taka mam zasadę: co zaczynam, to prowadzę do końca, chcę doprowadzić dzieci na ludzi. Zona też tego zdania jest, ona jest zapracowana, śpi jak zajac pod miedzą. Chłopcy jadą rano do roboty, ona już na nogach, ona już im wszystko przygotowuje. Dzieci idą do szkoły, matka już ich dobrze obejrzy, czy wszystko jest w porządku. Wszędzie jej oko, wszędzie jej staranie. Wracają z lekcji, wracają z pracy, a obiad na stole czeka, a w domu, o, tak, jak pan widzi, zawsze tak wzorowo jest. I dzieci potrafią wszystko zrobić, dopomóc, ulżyć.

Właśnie widzę Stachę, który zjadł razem z Anią, pozostawili po sobie czysto, nie czekając na nieobecną matkę. Za chwilę ma siąść na motocykl, by pojechać i pomóc dziadkom. Pytam, czy odpowiada mu model aż tak dużej rodziny, czy wolałby mniejszą, na przy-

kład czworo rodzeństwa. Kawaler zamysla się i w końcu, po kolejnej chwili wahania odpowiada:

— Człowiek jest przyzwyczajony w takiej zgranej rodzinie. Trudno jest samemu być. Być samemu, to raczej nie mógłbym się przyzwyczaić. A gdyby było tylko kilkoro? Może nie czułbym się samotnie, ale wie pan... Trudno sobie wyobrazić... Każda siostra, każdy brat... kochani są i mili. A ja sam? Nie zastanawiałem się — dziewczyna, to jeszcze, to wszystko nie... na razie szkołę muszę skończyć.

Po chwili zawarczał motor, nie słyszeliśmy nawet, kiedy otworzy się drzwi i wróciła Agnieszka. Bez mamy. Nie zobaczę więc tej kobiety? Coraz bardziej upewniam się, że unika spotkania ze mną, że zatrzymała się gdzieś niedaleko, bo Agnieszka uśmiecha się tajemniczo, bo ona wie, że mama ma coś przeciw temu panu, który tyle godzin siedzi w ich domu. Sam ojciec rodziny jest także zakłopotany, próbuje więc pokryć tę chwilę dodatkowymi zapewnieniami, w które wierzę, bo wypowiedane są z żarem i dużym uczuciem. Wraca trochę do stwierdzeń najstarszego syna, trochę do własnych stwierdzeń sprzed pół godziny.

— Panie, jak my się zejdziemy w święta Bożego Narodzenia, albo na Wielkanoc, albo i tak sobie, zaprosimy babcię i dziadka No, w dziadka patrzemy, jak w telewizor. Panie, on coś powie, coś zaśpiewa po małym kielichu, bo dużo teraz nie może, on w kapeluszu sobie chodzi, jeszcze sobie tupnie, no, sama radość. Czasem ktoś nam mówił: stało się, ale można było zapobiec, zrobić zabieg, albo inaczej. A niech pan spojrzy na tę naszą jedenastkę: którego dziecka nie chciałaby matka, którego chciałbym się ja wyrzec? No, nie do wyobrażenia jest, żeby tego nie było, albo tamtego! Wszystkie cenione są i nie ma, że to lepsze, a tamto gorsze. Za każdego jednego, gdyby się coś mu źle działo, to przyjmę postawę Juranda z „Krzyszaków”. Lubiane wszystkie są, szanowane, wzajemnie się szanujemy, miłość u nas jest, ciepło rodzinne. Taka jest prawda i taka jest... nic innego.

Losy nasze

Ireneusz J. Kamiński

W WOJCIECH Salwa służył w 3 pułku pancerny legijonu w Jarosławiu. W 39 do-
stał się do niewoli niemieckiej. Potem pracował w Brytyjczyków, następnie małował statki, później obsługiwał — „lepiej od Niemców” — maszynę produkującą gilzy do papierosów. Ożenił się z Niemką, która do dziś nie opanowała języka polskiego.

Ale człowiek, który w Niemczech Zachodnich przeżywał już niemal 40 lat, nadal posiada polski paszport konsularny. Kiedy w obozie „zachęciano” Salwę do zrzeczenia się statusu jeńca wojennego i obywatelstwa polskiego, argumentując, że państwo takie nie istnieje i nigdy istnieć nie będzie, zdecydowanie odmówił. A kiedy przyszły na świat dzieci, wiedział dobrze, „mimo że nie posiada wykształcenia”, czego ich uczyć. Co prawda najstarszy syn, Roman, mając kilkanaście lat ożenił się z Niemką i rzadko już gości w ojcowskim domu, co dręczy Wojciecha Salwę, ale za to młodsze dzieci go nie zawiodły. 23-letni Marian był już trzykrotnie w Kraju, nieźle zna nasz język, a na widocznym miejscu deski rozdzielczej swojego wysłużonego Volkswagena przykleił herb Warszawy. Bezbłędnie natomiast mówi po polsku Krystyna, mieszkająca nadal z ojcem. Jest to zrozumiałe także i z tego względu, że kiedy zabrakło dla niej pracy w RFN, Salwa umieścił ją w liceum ogólnokształcącym w Mińsku Mazowieckim, gdzie uczyła się dwa lata. W rezultacie odpowiedni urząd niemiecki znalazł dla niej zatrudnienie. Obecnie pracuje, ucząc się jednocześnie do szkoły handlowej. Przypuszczam, że Salwa marzy, aby i ona pracowała w biurze, jak obaj synowie. Dla byłego jeńca wojennego nr 28463, człowieka ze wsi kieleckiej, wykonywanie takiej pracy jest synonimem awansu społecznego. Skąd my to znamy?

Za oknami mieszkania Wojciecha Salwy czerwienią się neony: „Grundig, W. Weide and Co” i „Bosch”. W kuchni i łazience tego domu znajdują się produkty firmy „Bosch”, m. in. wielka automatyczna pralka, w pokojach świecą dwa telewizory, gdzieś tam stoi okazały magnetofon... A ich posiadacz pali nerwowo papierosa za papierosem, opowiada o swoich rozlicznych niegdys kłopotach, które rozwiązywał przebiegle, posługując się ludowym instynktem oraz niemieckim prawem, poznanym dokładnie, na wrywki i na wszelki wypadek, aby nie dać się zgnieć w obym, na pewno dlań obym żywiło. Salwa ma oczy czujne, wszystkowiedzące — także i to, że Roman coraz dalej odjeżdża od niego swoim imponującym wozem za 16 tysięcy marek, odjeżdża w stronę innego narodu, innego myślenia o świecie, które nie dopuszcza takiego gestu, jaki uczynił niedawno rencista, przerażając lekką ręką wraz z Krystyną i Marianem 1500 w sumie marek na Centrum Zdrowia Dziecka. Polski Komitet Olimpijski i fundusz odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie.

Bywałem w RFN w domach zasnych Polaków, których dzieci porozumiewały się z sobą prawie wyłącznie po niemiecku. Nic na to nie możemy poradzić — tłumaczyli się rodzice — synowie i córki chodzą do szkół niemieckich, przebywają wśród niemieckich rówieśników, oglądają niemiecką telewizję, rozpoczynają pracę w niemieckich przedsiębiorstwach, to i zapominają naszego języka. Do związków polonijnych należą w większości ludzie starsi, młodzież spotyka się przede wszystkim w zespołach artystycznych, których np. „Zgoda” posiada kilkanaście na 10 tysięcy ogółu członków. Szacuje się, że w RFN mieszka obecnie 250 tysięcy Polaków

— coż to znaczy wobec 60 milionów rodowitych Niemców...

Tak, niewiele ci rodzice mogą na to poradzić. Na rozstańczonej polskiej zabawie w Oberhausen matka rozmawiała ze mną czystą polszczyzną, córka zaś miała ochotę na konwersację, ale tylko w niemieckim lub angielskim. W domu matki — Polki a ojca — niemieckiego policjanta, sympatycznego zresztą i polującego u nas od czasu do czasu, dorastające dzieci gaworzyły po niemiecku, aż się ich dziadek, stary i zasłużony działacz Związku Polaków w Niemczech, gość niedzielny, zdenerwował mocno, co tam głośno wykrzykując o zapomnianiu języka w polskiej, przynajmniej w połowie, gębie. I na dodatek rzucił jeszcze kilka cierpkich uwag na temat przyszłości Polonii w RFN. No tak, ale dlaczego wieczorem jedno z tych dzieci, córka wysoka i ładna, powiozła nas samochodem na imprezę polonijną, a potem zaśpiewała wraz z matką w chórze?! Myślę, że zew krwi ujawnia się dzisiaj w postaci innej niż dawniej, kiedy to broniąc się przed konsekwentnie realizowaną polityką wynaradawiania i dyskryminacji etnicznej nasi rodacy na niemieckiej obczyźnie zębami i pazurami trzymali się polskości. „Kiedy nie ma bezpośredniego zagrożenia i żyje się jako tako — powiedział mi prezes pewnej gromady „Zgody” — instynkt narodowy cichnie w ludziach, na pewno w młodym pokoleniu, tak rozbawionym, jak jego krewiniacy w innych krajach”. Chyba i prawda, ale dlaczego młody jeszcze działacz „Zgody” w Hamburgu zwierzył mi się, że właśnie w tym mieście czuje się dobrze, bezpiecznie — bo jest to aglomeracja rzeczywiście międzynarodowa, a tym samym tolerancyjna?! Więc jak to jest z tym „brakiem zagrożenia”?

Skomplikowany to problem. „Zgoda” prowadzi w RFN kilkanaście szkółek języka polskiego, a do każdej z nich uczęszcza po kilkanaścioro dzieci. A są wśród nich także dzieci niemieckie absolutnie! Młode Polki żenią się z Niemcami, ale córka Antoniego Knizika, człowieka prostolinijnego, o wielkiej uczciwości i głębokim przywiązaniu do sprawy polskiej, męża znalazła w kraju, konkretnie w Siedlcach. Henryk Dechni, syn znakomitej pani Pauliny z Düsseldorfu, pracującej dla „Zgody”, wyłącznie społecznie, jest Polakiem z krwi i kości, ale doskonale współżyje z wieloma młodymi Niemcami, którym w trudnych momentach pomaga do granic poważnego ryzyka, ciesząc się u studentów wielkim autorytetem moralnym. Powstrzymajmy się zatem przed zbyt daleko idącymi uogólnieniami, zejźmy na grunt konkretny, drobnych obserwacji.

Wojciech Salwa dwoje swoich dzieci zachował dla polskości, a kto wie jeszcze, jak będzie z trzecim, zaledwie 25-letnim. Natomiast córka Stefana i Małgorzaty Taborów, także mieszkających w Hamburgu, wyszła za Niemca i nie zna już języka polskiego, choć przez 11 lat uczęszczała do szkoły polonijnej, prowadzonej od 30 lat przez Stefana Mrużka, współzałożyciela „Zgody” i sekretarza pierwszego zarządu głównego związku w 1952 roku. Więc Taborowie samotnie spędzają np. święta Bożego Narodzenia, aczkolwiek właśnie teraz, kiedy pan Stefan przeszedł już na zasłużoną emeryturę, mogliby żyć bardziej familijnie. Roswita, owszem, wpadnie na pół godziny do rodziców, ale po spełnieniu tego obowiązku biegnie do zamężnego męża. No coż, takie jest życie... Ojciec zięcia posiada przedsiębiorstwo turystyki międzynarodowej (11 autokarów), co okazjonalnie sprzyja nawet podtrzymaniu więzi rodzinnej między obu stronami. Taborowie mogli na przykład zwieźć autokarem tej firmy Włochy (Capri) — aż o 10 procent taniej, niż inni, nie skłonił ich podstępny. Pan Stefan uznaje to za gest dobrej woli ze stro-

ny właściciela, „bo przecież potrzeba je on pociągnąć, żebym nie pociągnął nową hałą i kupił piac za milion marek”.

Tabor, podobnie jak Wojciech Salwa, trafił do Niemiec w okolicznościach wojennych: jako jeńiec z 13 pułku ulanów, stacjonującego niegdys w Nowej Wilejce. Po zwycięstwie alianatów pracował u Brytyjczyków do 1956 roku, potem rozwinął prywatny interes. Ożenił się w 1947 roku, no i w biedzie rozpoczął tę swoją walkę o lepsze jutro. Mieszkali z żoną w pokoju o powierzchni 11 metrów kwadratowych, którego jedynym meblem był początkowo kuferek, służący jako stolik, albo jako krzesło. Ale jakoś wyszli z tego: ciężką robotą pana Stefana.

Zrozumiałe więc, że teraz, kiedy mieszkanie jest duże i dostatnio urządzone, a na stole zalecają się grzybki smażone, kielbasa z rusztu i wino mozelskie..., gospodarz z pewną satysfakcją demonstruje mi zdalne manipulowanie kolorowym telewizorem za 2000 marek, na którego ekranie raz pojawia się program z NRD, raz — Andrzej Rosiewicz z „Asocjacji Hagaw”, ozdobiony wielką muchą koloru srebrnego choinkowego, a to znów pająłka. Lu-



Stefan Mrużek

bią go tu ludzie, także dlatego, że mistrz zdaje się dobrze znać niemiecki.

Tabor często odwiedza Polskę, gdzie żyje jego brat. I mówi, co mu się w kraju nie podoba, na przykład: kolejki po papier toaletowym. A wyczerpawszy krytyczny rejester, rzuca po chwili: „Gdyby ktoś na Polskę powiedział to złe słowo, to już nie byłby moim kolegą”. Kiedy zaś rozważaliśmy problem gastarbeiterów — „to często dobrzy fachowcy, ale w oczach Niemców są obywatelami III kategorii” — pani Małgorzata powiedziała krótko: „Nikommu z innego kraju nie radziłabym, aby tu się osiedlił. Ja jestem w połowie Niemką, ale lepiej mi było w Polsce, gdzie się urodziłam koło Płocka”.

Wtedy przypomniały mi się dwie sytuacje, dwie uwagi poczynione przez kobiety w różnym wieku, o odmiennych doświadczeniach. Na zebraniu koła kobiet w Duisburgu poznałam panią Annę Nakielską, która pieszko, po półgodzinnym marszu w deszczu, dotarła na to spotkanie w knajpie herr Adamczyka. W rozmowie dowiedziałem się, że do Niemiec przyjechała w 1926 roku, aby dwa lata później wstąpić do Związku Polaków w Niemczech. Owdowiała 23 lata temu; mąż był majstrem w fabryce przemysłu metalowego, należącej dziś do koncernu Thyssena. Wiekowa, zbliżająca się 85 roku życia kobieta, inteligentna pani o żywej umysłowości odwiedza często krewnych w Polsce. I podczas jednej z takich wizyt jakiś jej szwagier zaczął pośpiesznie wypytywać o możliwości zarobkowe w RFN. A ona, ze smutną ironią komentująca wyjazd tych, co to w ramach tzw. łączenia rodzin wyprawiają się nad Ren i Łabę, chcąc często wrócić do Polski po pierwszych dramatycznych doświadczeniach — ta mądra pani powiedziała tylko: „Po co ci to? Będziesz tęsknił. Przez całe życie, jak ja!”

„To wielki uniwersytet, liczący 30 tysięcy studentów. Ale bez atmosfery, wie pan, takiej krakowskiej. Mój Boże, Kraków! Jak mój chłopak, Niemiec, zrobi doktorat, zaraz wyjeżdżamy — może do Austrii, może gdzieś indziej za granicę. Ja tu nie wytrzymam!” — takie natomiast wyznaczenie usłyszałem od młodej dziewczyny, pracującej na uniwersytecie w Bochum, a pochodzącej ze Śląska.

Losy polskie, poskręcane przez historię i doraźne okoliczności jak bąty, jak labirynty nadziei i naiwności, wiary i zwątpienia...

Wspomniałem mimochodem o Stefanie Mrużku, wybitnym działaczu polonijnym, mieszkającym w jednej z wschodnich dzielnic Hamburga, gdzie kilkanaście lat temu rozciągał się jeszcze pola, a dziś egzystują osiedla podob-

nych do siebie domków familijnych z dobrze utrzymanymi ogródkami. Meczennik i nauczyciel zawodu w jednej z hamburskich szkół, jest Mrużek potomkiem oficera napoleońskiego, który w trudnym powrocie spod Moskwy do Francji zapadł, ranny, w węgkie zacisze Olesnej w Opolkiem, gdzie go ożeniono, spisującą przy okazji nazwisko. Stefan Mrużek przyszedł na świat w Gorzowie, ale nie w tym Wielkopolskim, ale dalej na wschód — dzisiejszym województwie częstochowskim. Było to w 1917 roku, kiedy na ziemi tej panowali jeszcze Niemcy. Podobnie jak dziad i ojciec, aktualny prezes okręgowy „Zgody”, na północne obszary RFN, ożenił się z Polką, do dziś kobietą urodziwą, o ujmującym sposobie bycia, a przy tym świetną gospodynią, której marynaty, wytwarzane z pionów własnego ogródka, nie mają sobie równych na zachód od Odry (tak jest).

Swoją pracownią drogę do Polski rozpoczął Mrużek w wieku lat 31, kiedy to wyprawił się do kraju jako opiekun polonijnej grupy dzieci skierowanych na kolonie. Zaraz też zorganizował szkołę języka polskiego, którą prowadził do dzisiaj, a od 1950 roku kieruje najlepszym bodaj folklorystycznym zespołem polonijnym w RFN „Krakowiak”, skupiającym 28 młodych, dorodnych dziewcząt i chłopców, występujących na festiwalu w Rzeszowie, ale i na uniwersytecie hamburskim — w ramach przeglądu tańców różnych narodów.

W domu Mrużków gościłem z Wojciechem Salwą i jego synem Marianem. Cztery godziny trwała wizyta, podczas której gospodarz pokazywał mi różne dokumenty i fotografie. Jedną z nich przedstawiała Edwarda Gierka z żoną, jak podczas wizyty w zabytkowym ratuszu hamburskim w 1976 roku rozmawia z synem i córką Mrużków, ubranymi w stroje krakowskie. „Na tym przyjęciu była cała elita polityczna Republiki — wspominał pan Stefan — no i my także”.

Miałem też w dłoni kartkę pocztową z widokiem Małych Pieniń, przesłaną Mrużkowi przez ks. Stanisława Skudrzyka, wieloletniego proboszcza polskiej parafii w Hamburgu, człowieka starszego, schorowanego, który po długich latach spędzonych na obczyźnie wybrał się do kraju, skąd napisał do „miego bohatera Hamburga”: „Polską jestem zachwycony. Naród wspaniały. Będę się starał pozostać w Polsce...”

W 1966 roku Stefan Mrużek otrzymał od władz PRL „Odznakę 1000-lecia Państwa Polskiego”, a w 1970 — Złoty Krzyż Zasługi.

Mimo wszystko Polacy czują się nieźle w dwumilionowym Hamburgu, właśnie dlatego, że jest to miasto portowe, pełne cudzoziemców. A poza tym często goszczą tu polscy pisarze, muzycy i nasze teatry dramatyczne. Podczas mojego tam pobytu miał spotkanie autorskie Zbigniew Herbert, wcześniej warszawski Teatr Dramatyczny pokazywał na scenie „Thalii” „Ślub” Gombrowicza, „Na czworakach” Różewicza oraz „Króla Leara” Szekspira i „Rzeźnię” Mrożka. W Hamburgu działają placówki „Lotu” i „Orbisu”, w lokalach przy ul. Steindamm gra do tańca kilka polskich zespołów muzycznych — klnąc na czym świat stoi, bo pieniądź pieniądzem, ale czy przez całą noc nie mogłoby być dłuższej przerwy, niż jedna 15-minutowa?!

O naszej obecności w Hamburgu może też świadczyć fakt licznych napisów w okolicach portu, na drzwiach tamtejszych sklepów: „Mówimy po polsku”. Na szyldach owych przybytków widnieją zresztą dziwnie polskie imiona właścicieli, nieco przekształcone w celach handlowych: „Frantex”, „Bolex”, „Jan-tex”, „Romatex”. W sferach naszych marynarzy znane jest ponadto dobrze nazwisko pana Moszkowicza, który także rozwija swój interes koło portu, rozbudowanego, jak niegdys wspominałem, m.in. przez nasze firmy.

O hamburskiej codzienności mam sporo informacji przekazał mi pan Zbigniew Tomaszewicz, pracownik kolejowy, wyślawiający się jak inżynier, powiedzmy, budowy silników okrętowych. Obwoząc mnie po mieście sypał liczbami licznymi fachowy przewodnik, bezbłędnie określał tonaż przepływających kanałami statków, z pewnością bywałca wskazywał co ciekawsze przybytki. Energiemny prezes jednej z hamburskich gromad „Zgody”, piastujący z pożytkiem dla rodaków tę funkcję po ustąpieniu z niej 90-letniego Konrada Burnickiego, posiada dwie córki, z których młodsza, siedemnastoletnia Beata, także witała Edwarda Gierka w hamburskim ratuszu, a starsza, dwudziestoletnia Alicja, jest słuchaczką trzyletnich studiów społeczno-pedagogicznych Tomaszewicz należy do młodszego pokolenia Polonii w RFN i trzeba przyznać, że myśli także no nowemu, bardziej oryginalnie. Kto wie, może takie właśnie myślenie ma przyszłość...



NA jednej z wystaw zachwyciły mnie wycinanki Zofii P. Urzekał w nich nieklamany prymitywizm i stara tradycja regionalna. Nareszcie prawdziwa, niefałszowana sztuka ludowa! Gdy spytałam o adres sanniczanki, omal piorun nie trafił mnie ze zdumienia. Ta sanniczanka mieszka na Targówku, na Pradze. W oka mgnieniu runęły definicje sztuki ludowej. Po cieszałam się jednak, że współczesna etnografia bada nie tylko tradycję regionalną, lecz jej przemiany, przeobrażenia stosunków, psychiki, nowe mity, nowe autorytety. Przy tym pracuje się kompleksowo. Już widzę całe obozy etnografów, socjologów, ekonomistów, historyków sztuki, ba, nawet archeologów, jak ciągną na Targówek, aby zbadać fenomen sanniczanki na Pradze.

Aby ich wyprzedzić, pośpieszyłam tam sama. Oglądałam na brudnych i zapomnianych przez władze ulicach różnolętowe domy, budowane przez przypadek, kocie łby bruków, teczki z naftą w rozlanych rynsztokach. Ciężarowe platformy grzmią po kamiennych brukach, a nie widywany już w Warszawie koń dorożkarski pożywia się sianem, obracając pyskiem przwiązany do worka.

Wedrując tak po Pradze, nie mogłam się oprzeć pokucie obejrzenia bazaru Różyckiego, gdzie życie wybucha kolorowo i hałaśliwie. Stosy jasnozielonej kapusty i rudych marchwi, czerwonych jabłek, białe sery, zwały białego drobiu i kopy jaj, dalej — lady pełne wszelkiej tandety. A że miało się ku Wielkanocy wyległy na straganie całe stada baranków z kredy lub pozłacanego gipsu pod czerwoną chorągiewką Zmartwychwstania. Miały namalowane ludzkie twarze bezmyślne lub zamysłone, za każdym razem inaczej. Obok sprzedawano setki złotych kurczatek z waty, szpetnych zajęczków z farbowanymi jajami, ostrych ptaszek z piórem na gumkach, bocianów z kiwającymi się głowami, różnych bączków i figielków ze staniolu i plastiku. A nad tym wszystkim unosiły się grona kolorowych baloników i całe wiechy wściekle barwnych kwiatów z wiórków, piórek, woskowanej bibułki, barwionych ziół.

W nieopisaną wrzawie opatulone przekupki klóciły się zawzięcie i zarazem zachwalały towar, a ktoś starał się je przekrzyknąć, reklamując uniwersalny scyzoryk do dźbania w zębach, uszach i paznokciach... Tu właśnie kwitnie bujnie i samorzutnie straganowa twórczość dla mas miejskich i marzenie wsi!

Z trudem wyrwałam się z targu, aby znów w obszarpanych mrocznych uliczkach szukać mojej sanniczanki. Wreszcie weszłam w podwórko głębokie jak studnia z kwadratem chmurnego nieba, zamkniętym brudnymi murami z niezatynkowanymi śladami kul. Pośrodku dziedzińca stał niemiecki posąg gipsowej „Lurdki” z koroną z różnokolorowych żarówek nad głową i stopami umajonymi różami z woskowanej bibułki.

Próżno dopytywałam się o Zofię P., wycinankarkę. Długo błądziłam prawie po omacku po ciemnych schodach i obszarpanych korytarzach z pokojami zamkniętymi na klódki.

Wreszcie otworzyły się któreś drzwi i oko spoczęło na zieleni wyjątkowo bujnego pokojowego drzewka. Rozłożysta sześćdziesięcioletnia kobieta przyjęła mnie gościnnie w ogrzonym pokoju. Rozjeżdżałam się, wszystko tu było tak, jak być powinno w pokoju na Pradze. Święty oleodruk, fotografia ślubna, jakieś sztuczne bukiety. Zdziwiła mnie wycinanka na ścianie, przedstawiająca Pałac Kultury Obok druga wycinanka: sztywna frontalna figura sanniczka, tylko nie w czerwonej face, lecz czarnej marynarce ze złotymi guzikami i z głową Chopina przyklejona do niej a wycięta z jakiegoś tygodnika. O Sannikach przypominały

tylko misterne koronkowe drzewka, przyklejone do Pałacu Kultury i Chopina.

— A gdzie są wycinanki sanniczek? — spytałam rozezarowana.

— Sanniki są zamknięte w tekturowym pudle — brzmiała odpowiedź.

I rzeczywiście w sporym pudle roło się od sztywnych, na jedną modłę wyciętych lalek w węgłkach z pracowicie naklejonymi pasieczkami z barwnych papierów, a także jednakowych chłopaków, małym szczegółem garderoby przemienionych w drużbę, Heroda, diabła czy górnik. Natomiast koguty swym fantastycznym upierzeniem przekraczały najmilszą wyobraźnię.

— Tu ma pani Sanniki — powtórzyła.

Zaczęłam od stereotypowego pytania:

— Kiedy pani zaczęła wycinać?

Sanniczanka na Pradze

Janina Oryżyna

— Jak miałam pięć lat, uczyła mnie tego babka, chyba stuletnia — odpowiedziała.

— A kiedy pani wyjechała z Sannik?

— Chyba będzie pięćdziesiąt lat temu — zamylała się.

— A co panią skłania do twórczości, dlaczego pani wycina?

— Z nudów — odpowiedziała bez wahania.

— Ach tak, rozumiem panią doskonale, bo i ja piszę z nudów, kiedy już nie mogę wytrzymać i dlatego przyszłam do pani, aby napisać o jej życiu.

Zofia P. ożywiła się nagle.

— To doskonale! Moje życie było bardzo ciekawe. Takiego życia jeszcze nie było!

— Każde życie jest takie, jakiego jeszcze nie było — oświadczyłam z przekonaniem.

— Ale nikt jeszcze nie był po własnej śmierci, tak jak ja — zawołała z przechwałką. — A było to tak. Moja mamusia była piękna, dorodna i bardzo silna. Drużej takiej nie było. Razu pewnego, gdy mnie stłukła, i tatuś ujął się za mnie, grzmotnęła tatusem o ścianę tak mocno, że niechcący zabiła go na śmierć. Włożyła tedy welon żałobny i została wdową. A że była piękna, i posuwała się wciąż z sąsiadami, miała dużo dzieci. Ale szybko robiły się z nich aniołki. Gdy zamawiała grób dla tatusia, pan żałobnik tak mówił do mamusi: „Zrobię wszystko, aby ożywić trumienkę: festoniki, kwiatki, wszystko co pani każe, żeby było ładnie, przyzwoicie i żeby ludzie zazdrościli. Ale radzę pani jak ojciec, niech pani zakupi sobie drugie miejsce na ementarzu. To jest pewność i zaufanie! Pośrodku spocznie szanowny nieboszczyk małżonek, obok szanowna pani, dokoluśka ugarniurze się dziatkami. Naprawdę będzie niedrogo i cacy”. Ale ja nie chciałam być aniołkiem, ani garnirować mogiłek. Miałam jednak złe przecucie. Zawsze tak było ze mną, bo jestem niezwykajna. Zachorowałam więc i umarłam. Zamklił mnie do trumny i ponieśli na ementarz. A ja się obudziłam, wałę w wieko i krzyczę: „Ja nie chcę do nieba!” A słyszę, że ksiądz proboszcz mruczy z oddalenia: „Nie bój się duszo, nie tak łatwo trafić do nieba. Najpierw trzeba iść do czyśćca.” Na to ja jeszcze głośnie: „Księżo proboszczu, ja nie chcę iść do czyśćca, tylko do mamy”, i wałę pięściami. Wtedy ksiądz wrzasnął nagle wniebogłosy: „To dziecko żyje! Ratujcie ludzi! Zatrzymajcie się! Otwórzcie trumnę!” Otworzyli ją i zanieśli mnie do domu. Co prawda ja się bałam mamusi gorzej niż czyśćca i uciekłam z siostrą do Warszawy.

Nie wiedziałam, co myśleć o tych zwierzeniach: obłęd literatury czy prawda, a może wpływ cywilizacji i kultury, bo musiała gdzieś widzieć telewizję u sąsiadów.

— No i powiedz pani, kto żył po własnej śmierci, tego nawet w żadnej korbce nie było — potwierdziła moje domysły.

— Ciekawe było moje życie, ciekawe — zaczęła dalej. — Za Niemców usługiwałam jednemu Żydowi. Dobrze to było państwo i bogate, bo Niemcom państwo mundury. Pieniędzy mieli tyle, że gdy sprzątałam, całe lury tysiąców wymiatalam spod dywanów i kątów. Kładłam je wtedy na stole, bo cudzych rzeczy nigdy nie ruszyłam. A moje państwo mówił mi: „Niech Zosia bierze wszystkie te pieniądze, a jak chce, to i innym rozda”. Szłam więc po ulicy i rozdawałam przechodniom tysiące, a jak nie chcieli, to rzucałam je, a wiatr je roznosił. Taka byłam bogata. A było to za Niemców, gdy orła polskiego nigdzie nie można było zobaczyć chyba jak się przekroło na połowę pomidor. A i wojnę niejedną przeżyłam. Trudno co prawda nie widziałam, raz jeden tylko. Jeszcze wtedy ludzie nie wszystkie konie zjedli, więc jechał taki wózek cyrkowy z plakatami i napisami: „Wesoła zabawa, sto pociech”. I na tym wózku wiozł ktoś dwa trupy, przykryte kurtyną, małżeństwo, co zginęło od bomby. A kiedy szłam do ogonka, bo mówili, że na Senatorskiej można stać po chleb, to jak dmuchnęła moją bombą, znalazłam się gdzieś na Elektoralnej. I nie mi się nie stało. Widzę, że ludzie budują tam barykadę. Budowałam z nimi i ja, a gdy była już gotowa, patrzę, a ta ruda Mańka z Freta ulicy wzięła na barykadę, włosy rozpuściła na wiatr, bluzkę na piersi rozdarła i dalej wrzeszczeć aż ochrypla: „Zołnierze, broncie Warszawy, każdemu będę darmo dawała. Broncie, broncie Warszawy!” Mężczyźni nie było już w Warszawie, bo ich radio wyprowadziło w pole, a Niemcy rzucałi na dachy bomby zapalające. Widzę, w środku podwórka stoi jakiś niski, gruby urzędnik i krzyczy: Co robicie? Co robicie? Gdzie jest naczelnik administracyjno-gospodarczy? A gdzie budżetowo-rachunkowy? A gdzie dyrektor? Nie ma nawet i woźnych. A kto pójdzie na dachy? Wtedy jakaś pani, już nie bardzo młoda w niebieskim kostiumie, ja i trzynastoletnia harcerka stanęłyśmy na rozkazy. „Przecież panie nie pójdą na dachy dusić bomby w piasku!” — krzyczał zrozpaczony urzędnik. „Dlaczegożby nie?” — wrzasnęła harcerka podparłszy się w bok. — „Dlaczegożby nie?” — powtórzyłam. I poszłyśmy na dachy dusić te bomby jak pluskwy. A potem nie pamiętam, może to już było powstanie. Bierłam schronami z wiaderkiem po wodę, bo to na wojnie zawsze braknie wody. Idę do studni, już nie piwnicami, tylko po wierzchu, po placu, a tu bomba jak nie huknie i nie sypnie gruzem. Patrzę, a kolumna z kościoła świętego Aleksandra frunęła w powietrze, jak Boga kocham! Doleciałam do jakiegoś innego podwórka, gdzie była także studnia. Ustawiam się w kolejce, aż na czwartym piętrze, tyle tam było ludzi z kubłami. Ledwie się wspierałam, aż tu krowa jak ryknie, bo Niemcy właśnie w studię mierzyli. Wtedy to ja wiele ludzi uratowałam. Bo urzyli mnie na kursie sanitarnym, że jak dom się wali na głowę, to trzeba odskoczyć. Ja im tak kazałam: Odskoczyci i ocaleli. O, jak wszyscy ludzie mi za to dziękowali!”

I tak dalej jedne za drugimi biegły wspomnienia sanniczanki, która z całą ludnością Warszawy zdobyła w jej obronie obywatelstwo stolicy i Virtuti Militari.

Nagle przez okno wleciał za wczesny motyl, choć pora była jeszcze chłodna. Pani Zosia usmiechnęła się szeroko.

— A, to ten z Sannik, bo tu na Pradze nie ma w murach motyli. A choćby nawet nie przyceiał z Sannik, to zostanie na zawsze sannicki — dodała wesoło i pokazała mi przedliczne wycinane motyle z misternymi zdobnikami z kłopotków.



Wycinanka Zofii P.

Julia Hartwig

I ZNÓW

W oknie parking oświetlony neonowym światłem
niebo zamglone i płytkie jak sen chorego
zachrypli głos kobiecy i przekleństwo pijaka
i znów to wołanie ptaka głos samej nocy uparty
to ostrzeżenie i znak
a właśnie tego roku choroba i śmierć wtargnęły w nasze życie
jak oszalała zamieć
i zakopywaliśmy naszych zmarłych
wyrobownicy wyzyskiwani przez okrutnego gospodarza
deszcz sypał w lekkie liście brzoź
i znów ten krzyk znajomy z otwartych ust powietrza
ten krzyk coraz to bardziej czuły
ten siostrzyeczko uhu

PRZECHODZIEN

Szedł ulicą tak osobny jak ubranie bez ciała
twarz zarośnięta nieruchome oczy
płaszcz zmięty i nieświeży jakby nie oswojony jeszcze ze światłem
ledwo odebrany z przechowalni szpitalnej lub więziennej
zakurzone sandały poślizka koszula
kapelusz pływający nad opustoszałą twarzą
krok zmęczony ciało naprzód podane
jakby samo siebie chciało niespiesznie wyprzedzić
ledwo tłąca latarka oddalona od tłumu o kilometry myśli
Ten człowiek szedł na pewno dalej niż my wszyscy
naznaczony niebytem i tak zagłębiony w siebie
jak nie zdarza się nawet ludziom ze śmiercią u węgłowa
Spotkałam więc ducha pośrodku miasta
na Marszałkowskiej w pobliżu domu
A może było to właśnie samotne ciało i tylko ciało
które zużyło już wszystkie swoje duchowe zasoby
i dlatego właśnie wydawało się tak niesamowite
nawet pośród nas zwykłych przechodniów którzy mijaliśmy go
dźwignając siatki pełne jabłek chleba i mrożonego dorsza

W ROKU 1962 ukazała się książka Artura Sandauera „Poeci trzech pokoleń”. Jest w niej szkic „Esteta czy Scyta? Albo robotnik wyobraźni”. W roku 1963 ukazała się opracowana przez Artura Sandauera książeczka „Przybos”. Jest w niej szkic „Esteta czy Scyta? Albo robotnik wyobraźni”. W roku 1969 ukazała się książka Artura Sandauera „Liryka i logika”. Jest w niej szkic „Esteta czy Scyta? Albo robotnik wyobraźni”. W roku 1977 ukazała się książka Artura Sandauera „Poeci czterech pokoleń”. Jest w niej szkic „Esteta czy Scyta? Albo robotnik wyobraźni”. Brawo. Jeden tekst w czterech publikacjach. Ale to jeszcze nie wszystko. Szkic „Od romantyzmu do poezji proletariackiej” ukazał się w trzech z wymienionych książek, a w dwóch — „Leopold Staff”, „Julian Tuwim”, „Wiek zwycięstwa”, „Poeta świętej powszedniości”, „O Gałczyńskim — tym razem... bez taryfy ulgowej”, „Filozofia Leśmiana”, „Ernest Bryll — klasa, naród, pokolenie”, „Pośmiertny tryumf Młodej Polski”, „Poezja rupieci” oraz pewien tekst, który raz nazywa się „Na przykład Szymborska”, drugi raz „Podgozona z historią”.

Proszę mi wybaczyć, że tyle miejsca zajmuje wymienienie powtórzeń. Nie moja wina, że tyle ich było. Choć przynależało im być, że jest to praktyka nader owocna. Napisawszy połowę książki następną połowę zapobiegliwy autor czerpie z książki poprzedniej i w ten sposób połowa staje się całością. Czy nie ma prawa do „Eureka”? Poza tym czy doświadczenie nie wykazuje, że trzeba być bębniącym po parę razy, jeśli upamiętnić się mając tezy godne czołowego miejsca w pantheonie krytyki? Byli „poeci trzech pokoleń”, po nich nastąpili „poeci czterech pokoleń”, zdołaliśmy się na trochę cierpliwości, bo już tylko patrzeć, jak pojawiają się „poeci pokoleń pięciu”. To naiwny Brzozowski pisząc „Legendę Młodej Polski” musiał biedzić się nad nowymi piętnastoma rozdziałami. Ani akapitu w niej ze „Współczesnej krytyki literackiej w Polsce”. Przeżytek. Krytyka literacka w Polsce lat sześćdziesiątych i następnych posługuje się metodami znacznie ulepszonymi w stosunku do tamtego rękodzielnictwa.

Zdarza się (a i to niezwykle rzadko), że autor wierszy układając nowy tomik włącza w nich jakiś wiersz z tomiku poprzedniego. Jako specjalnie charakterystyczny, jako specjalnie ulubiony, jako specjalnie zbliżony tonacją. Ale postępować tak z tekstami krytycznymi i to w takim rozmiarze to wynalazek Artura Sandauera. Czy już opatentowany? Na ten temat brak wiadomości. Wszelako podziwiać pewność siebie krytyka, który swoje teksty uważa za tak do-

nosne, że drukuje je w kolejnych publikacjach książkowych. To może od razu pomyśleć o piycie z miedzi? A mówilo się o zadufkowstwie tylko poetów. Kiedyś Sandauerem byłem zachwycony. Co za widzenie, co za interpretacja! Opinia literacka plawi się w nieświadomościach, a ten jednym aktem twórczego spojrzenia oddziela ziemię od wody. Jakże konsekwentną, jakże zwartą siatkę ujęć krytycznych potrafi nałożyć na całą współczesną literaturę. Inni błądzą po peryferiach, nie mają narzędzi, by sprostać trudniejszemu zjawiskom — dla Sandauera takich nie ma. U Pełpera był poemat rozkwitający, u Sandauera jest rozkwitająca interpretacja. Staff, Leśmian, Tuwim, Gałczyński — ci wszyscy istnieją w

świadomości odbiorczej dopiero od momentu, kiedy locuta est Roma krytyki literackiej i literackiego opiniodawstwa.

Dziś widzę co jest pierwszym założeniem tak pojętej praktyki. Bynajmniej nie chęć dotarcia do istoty zjawiska. Sandauer, jeśli zgadza się z faktami, tym lepiej, ale bynajmniej nie zgodność z faktami ma na celu. Ma na celu „ujęcie”, „wnikliwość”, „konceptję”. Zasugetowanie czytelnika przekonaniem, że oto stał się świadkiem błysku odkrywającego zasłonięte ciemnością dzieło. Ba, wyjaśnienie samemu autorowi, co tenże napisał. Mówi się o narcyzie poetów. Okazuje się, że jest możliwy również narcyz — krytyk.

Więc — jak powiedziano — nie ważny tekst. Tekst to tylko libretto krytyczno-literackiej opery. I nie ma takiej nuty, której ten bohaterski tenor nie weźmie. Fraszka mu nawet koloratura.

Jest taki wiersz Przybosia, „Notre-Dame”. Z operacji, jaką na nim przeprowadził Sandauer jest tak dumny, że nie omieszkał jej przypomnieć. Zresztą przypomnieć nie a propos, bo publikując — „Kultura”, 12.III.1978 — jeden z ostatnich wierszy Przybosia, „Różę”. (Właściwie nie wiadomo po co. „Róża” znajduje się w zbiorowym wydaniu LSW z roku 1975 i jest dostępna bez Sandauera). W ten sposób egzegezę wiersza „Notre-Dame” mamy trzy razy: w broszurze, w „Poetach czterech pokoleń” i w nocie towarzyszącej tekstowi „Różę” w „Kulturze”. Praktyka to

zresztą — jak widzimy — u Sandauera normalna.

Więc mamy te egzegezę. Ale egzegezę — curiosum. Bo oto mówi Sandauer, że jedno zdanie („Kto wstrząsnął tą ciemnością, nagiął i ogarnął?”) to nawias kwadratowy, drugim nawiasem kwadratowym jest zdanie końcowe („Kto pomyślał tę przepaść i odrzucił ją w górę!”) i w ten sposób powstają „zewnątrzne mury katedry. Zdania znajdujące się wewnątrz to nawy, „ukwiałe zaś w środku dwuwiersze to dwudzielne sklepienie ostrołukowe czy dwudzielny ołtarz”. Sandauer nawet sporządził graficzny tego wykres. W ten sposób... narysował wiersz. Czy dla odmiany nie zechciałby zanuć jakiejś rzeźby? Osobiście byłbym mu dodatkowo wdzięcz-

Przybosia katedra ni mniej ni więcej, tylko leży. Wersy przecież są pozorne. Czy dziwne, że przeciw temu eksperymentowi nie zaproponował Przybos, który zdecydowanie odznaczał się od wszelkich sztuczek mających wesprzeć czy zastąpić słowo? Nie dziwne, bo sam był obsesyjnie chciwy wszelkiego, nawet niekoniecznie aprobowanego zainteresowania sobą. Kiedy po ataku na „turpistów” otrzymał od nich bez mała reprimendę, zakończył sprawę artykułem „Radość sporu”. Osobiście ta radość po niezwykłej utarczce z „wieszczami od nogi stołowej”, których „Pegaz — Szczerz sparszywał”. Ale znów się weszło na pierwszy plan sceny, więc stan ducha w pełni uzasadniony.)

Sandaueritis

Zygmunt Mikulski

ny za podanie iloczynu wynikłego z pomnożenia „Słoneczników” van Gogha przez „Symfonię pastorałną” Beethovena. Chodzi mi o wynik w skali Beauforta.

Oto koronny przykład podporządkowania tekstu „inteligentnej koncepcji”. Bo jeśli nawet zgodzimy się na celowość zabiegu, to wiersz nie zaczyna się od słów „Kto wstrząsnął”, więc nie cały mieści się w „rysunku”. Ale to Sandauerowi nie przeszkadza. Nie mieści się? To go uciąć, a „ujęciu” ma się stać zadość. (Anegdota mówi, że Wielki Książę Konstanty, amator musztry i parad wojskowych będąc niezadowolony z pewnego oficera, kazał go zwolnić z wojska i odesłać na jego wieś. Kiedy mu zameldowano, że oficer wyjątkowo nie pochodzi ze szlachty i wsi nie ma, Wielki Książę zakrzyknął: „To dać mu wieś, a rozkaz ma być wykonany!”). Tak samo Sandauer więcej widzi swój kategorijski imperatyw oświecania, aniżeli materiał wiersza, kiedy mówi, że dwa zdania tworzące „zewnątrzne mury” katedry korespondują ze sobą nie tylko przez wspólny początek — „kto” — ale również przez jednakową — po 13 — liczbę zgłosek. Przytoczmy jeszcze raz: „Kto wstrząsnął tą ciemnością, nagiął i ogarnął?” i „Kto pomyślał tę przepaść i odrzucił ją w górę!” Policzmy na palcach. Wychodzi 13 i 14. Znow trzeba coś uciąć.

(A jeśli zgodzimy się, iż „Notre-Dame” jest polskim carmen figuratum, to

Oczywiście, to wszystko jest wsparte erudycją, która w każdej chwili może być cytatem, nazwiskiem, analogią. Stąd ogłoszenie czytelnika, który nawet stwierdziwszy u siebie coś w rodzaju sprzeciwu rychło z tej pozycji się wycofuje przytoczony (na takich śmiesznych podstawach powstałym) materiałem komparatystycznym. Kiedy Zygmunt Kalużyński po pobycie we Francji opublikował we wczesnych latach pięćdziesiątych „Listy zza trzech granic”, mrowilo się tam od intelektualnych sensacji. Kiedy zaś zachód stał się dostępnym penetracji kulturalnej, szydło wyszło z worka. Okazało się, że ta sensacyjność wynika z zabiegów autora, który pewnym zjawiskom dorysowywał wąsy, innym poprawił garby, jeszcze innym pozmięniał akcenty i proporcje, a wszystko w zbrojnej intencji zaopatowania czujnym dziennikarskim nosem. Tak samo Kibic w „Kulisach” bze jak najęty. Czyli Sandauer nie jest odosobniony. Tylko sądziłem, że co innego jest dykteryjka, co innego sensacyjka, a co innego przyłożenie miary do artystycznego faktu. To ostatnie miałoby coś wspólnego z kwitowaniem przez historię, więc niezupełnie jest stosowne na tym terenie dopuszczać do krytyczno-literackich happeningów.

Ale wiem, że będą. Sandaueritis jest nieuleczalna. Zresztą nie bez kozery. Tytuł patrzyło na wiersz „Notre-Dame”, a nikt nie zauważył, że to rysunek. Czy pozbyć się tak „pięknej choroby”?

Gralewski

przesłuchiwał jeńców

Dokończenie ze str. 3

z melancholią Witold Kukotko — trzeba walczyć o każdy parę metrów, o każdy pokój, nadojadło jednak dreptanie po odkrytym terenie, gdzie każdy ruch był kontrolowany przez Niemców.

Popisał się znow, w ciągu dnia, kapral Bolesław Czajkowski. Po cichutku zaszedł od tyłu do dwóch strzelających z ckm Niemców, bezszelestnie ich załatwił. Przytargał zdobytą kaem.

— Jak ty to robił? — pytają koledzy.

— Zwyczajnie. Najpierw grzeźnicę z nimi rozmawiam, a potem... — wymowny ruch ręką.

— No tak — mówi ktoś z całą powagą — tobie dobrze, ty znasz niemiecki.

Uśmiech żołnierski zjawia się na sekundę, dwie. Rzeczywiście, najważniejszy jest język...

Zdarzył się jednak i fakt przeciwny. Chorąży Stanisław Szewczyk, który niedawno przybył do pierwszego batalionu ze szkoły oficerskiej, wybrał się z patrolem w rejon nadmorskiego cmentarza. Zagapili się, czy po prostu po przeciwnej stronie obserwowano ich od dłuższej chwili. Przed nimi pojawił się gotowy do strzałów niemiecki ckm. Z tyłu — wyskoczyli Niemcy z pistoletami maszynowymi. Wzięli do niewoli patrol. Szewczyk pluje sobie w brodę. Tak się dać zaskoczyć. Przed wojną służył w drugim pułku piechoty legionowej. We wrześniu walczył pod Łodzią i w Warszawie, tu po raz pierwszy jak to dziś widać — dostał się do niewoli, potrafił z niej uciec po kilku tygodniach. W czterdziestym pierwszym znalazł się w ruchu oporu, uzyskał stopień plutonowego w wileńskim

zgrupowaniu AK pułkownika Wilka-Krzyżanowskiego. Po wyzwoleniu poszedł do wojska, skierowano go do szkoły oficerskiej. I — masz!

Rozdzielono ich — oddzielnie żołnierzy, oddzielnie on. W piwnicy odbywało się przesłuchanie: „Czy może jest Żydem, politrukiem, albo Rosjaninem?”

To prawda, nakarmili go. Na noc zamknęli w solidnej piwnicy. Znow spotkał się ze swoimi żołnierzami.

Nocą usłyszał drapanie, lekkie pukanie do okna. Nastawili uszu. Polski, kobiecy głos.

— Otwórzcie okno.

To mogli zrobić. I tak w oknach druty.

— Przyniosłam wam coś. Jestem Polką, warszawianką, tu mnie wywieziono po powstaniu.

Przez okno wsuwa solidne nożyce.

— Potraficie te druty przeciąć?

Zniknęła nagle, jak się pojawiła.

Gorączkowo przecinają druty. Począ się. Denerwują. Czy przecinają się przez małe okno?

Udało się. Czolgają się, byle dalej od piwnicy.

Przypadają do ziemi, udają trupy, gdy na ulicy słychać czyjeś kroki. Dużo zieleni. Park? Chyba blisko morze.

Nad ranem doczłgali się do pozycji czwartej dywizji. Omal ich nie postrzelono. Brudni, w podartych od czolgania mundurach, budzili nieufność, ale i zainteresowanie.

Krótkie przesłuchanie. Jeden, drugi telefon. Zrada się. „Był taki Szewczyk w pierwszym batalionie. Wczoraj poszedł na patrol z żołnierzami i zaginał”.

Mogą więc wracać do swoich.

Ow nadmorski cmentarz — jest nie tylko wrogli. Kryje wiele zagadek, do których jeszcze nie przywykli żołnierze drugiego i trzeciego batalionu, połączonego w jeden.

Tu został ranny Władysław Kiof. Stracił przytomność. Odzyskał ją dopiero w batalionie sanitarnym.

Tu przeżywają nadal śmierć Waleriana jego dwaj stryjeczni bracia Alfons i Józef.

Tu porucznik Stanisław Judycki, teraz w siódmej kompanii zaległ z pięćdziesiąt metrów od budynku cmentarnego, gdzie w piwnicy mieści się sztab ich batalionu. Rankiem, gdy szli do natarcia, własne moździerzce poczyniły szczyrby w skromnych resztkach kompanii i batalionów.

Sylwester Ozóg z dziewiątej kompanii strzeleckiej ma satysfakcję. Wraz z kolegami, podczas tego niezbyt wydarzonego natarcia, schwycił w okopach Niemca, który snadź się zdrzemnął. Karabin trzymał między kolanami. Wzięli go, a może i on był rad z finału drzemki?

Józef Kosowski, formalnie z czwartej kompanii strzeleckiej — formalnie, bo stanowią jedną dużą grupę szturmową, stworzoną z dwóch batalionów — przekonał się w dzień, na skraju cmentarza, jak różne mogą być niespodzianki.

Otwierali grobowce, szukając w nich schronienia przed dokuczliwym, całodziennym, niemieckim ogniem. Wyszli na niego z tej ciemnej, betonowej kryjówki Niemiec uzbrojony w pistolet maszynowy. Zdążył wymierzyć weń swoją pepesę i Kosowski Niemiec uniósł rękę do góry. Coś gwałtownie opowiadał, była to wszakże rozmowa jednostronna. Kosowski wzruszył ramionami. Nie nauczył się niemieckiego i w czasie okupacji. Wcześniej, bo już w czterdziestym drugim, trafił do Batalionów Chłopskich, z nimi wędrował po lasach pod Przemysłem i Mościskami. No, w każdym razie taki wypadek jak dziś, nie zdarzył mu się i w partyzancie.

Kiedy nieco ucichł ogień artylerii, Józef Kosowski odprowadził swą zdobycz do dowódcy kompanii.

— W grobowcu siedział — powiedział lojalnie, nie wdając się w szczegóły.

Alojzy Sroga

Fragment książki przygotowanej dla Wydawnictwa MON

Liście do Gerwazego

ZROZWOJEM cywilizacji coraz skuteczniejszy zgorzel atakuje czystość języka. Kiedyś były to pocztowe „brzydkie słowa”.

„I bardzo brzydkie wyrazy powtarzał po kilka razy”

— pisał w „Słownikach” Boy dając tym obraz właściwie sielanki, bo owe „brzydkie wyrazy” znajdowały się na zewnątrz mowy i nie mogły powodować procesów gnijnych. Z czasem powstał żargon przedmiejski, który też nie stanowił niebezpieczeństwa, ponieważ pozostał w obrębie języka mówionego, z rzadka tylko trafiając na karty powieści. Zagrożenie powstało dopiero z pojawieniem się slangów branżowych, głównie urzędniczego, które korzystając z potrzeby pośpiechu i skrótu, z podatności języka na neologizmy, uzyskiwały w nim prawo obywatelstwa. Zaczęło się mówić i pisać: „siedzę w tych sprawach na bieząco”, „ten wykaz należy zausterkować”, „ze sprzętu przeciwpowodziowego złomowano dwie łopaty”. Powstały „szopogaraże”, „stropo-dachy” i „klubo-kawiarnie”. Język sprawozdań sportowych dorzucił swoich „legionistów”, „polonistów” i „kombinatorów”. Wyższa postać pyrcia w języku to inteligentnie określona w rodzaju „formuła”, „sprawdzić się”, „jakiś” w odniesieniu do wiadomości jakiegoś, ale w ten sposób podawanego za szczególnie przez swą niekonwencjonalność interesującego. Język dzwaczęje.

Dzwaczęje wynaturzany również przez tych, którzy powinni pełnić funkcje terapeutyczne, mianowicie przez tegoż języka teoretyków. Badany Oto pani Danuta Buttler napisała książkę „Innowacje składniowe współczesnej polszczyzny”, w której im określenie mniej jasne, a bardziej pretensjonalne, tym skwapliwiej jest podejmowane jako narzędzie nowatorskiej myśli. Mamy więc „walencje”, „wartość syntaktyczną”, „łączliwość”, „konotację”, „potencję konotacyjną”, „reakcję” itd. To jeśli chodzi o samą terminologię. Oprócz niej są związki słowne, dla których rozszyfrowywanie potrzeba dumań marabuta, są związki logiczne, których śledzenie powoduje umysłowy zez, są całe obszary tekstu, z którym żadnej myśli złączyć nie można, chyba że wybrańszy na chybił trafił myśli dowolną przypisywać ją autorce. W tym intelektualnym klimacie wszystkiego da się dowiedzieć i wszystko wyinterpretować.

W lutymowym numerze miesięcznika „Twórczość” z 1977 roku ukazał się felieton Dedala „Co to jest walencja?”, w którym autor słusznie podaje w wątpliwość praktykę gmatuwaną zagadnień i języka za pomocą wymyślonej terminologii Terminologii katzącej przypuszczając istnienie stanów rzeczy równie dziwnych, a wymagających dla swojego wytłumaczenia z kolei nowych terminologicznych i logicznych dowodności. Dedal wyraził opinie, że ten objaw pseudo-naukowości nie tylko niczego nie wyjaśnia, ale jeszcze komplikuje język pozabawiając go funkcji komunikowania. „Co to takiego, nie zrozumiałem do końca” — pisze Dedal, uczeń profesora Klemensiewicza.

Oczywiście zaatakowanie filologii przez prasę musiało wywołać odiecz. Grzegorz Walczak w numerze 7-8 „Przeglądu humanistycznego” z roku 1977 zamieścił artykuł „O walencji, Dedalu i książce Danuty Buttler” w którym za pośrednictwem równie mętnych i nieprecyzyjnych sformułowań, kiedy dotyczą meritum (docinki pod adresem Dedala są łatwo czytelne), bierze w obronę wymienione dzieło. Niechby pokusił się o jasne wyłożenie sensu, skoro tenże w felietonie Dedala został zakwestionowany. Nie w tym samym stylu wywija sformułowaniami: „konotacja oblatatoryjna zerowa w sensie semantycznym”, „konotacja maksymalnie fakultatywna i sensie syntaktycznym”, „morfologiczno-syntaktyczne schematy konotacyjne (walencyjne)”. Zastanawia ta nikielna treść w stosunku do nastrożonej jak upierzenie indyka szaty słownej. Ostatecznie o ołówku mogą powiedzieć „symbioza drewna z grafitem uformowana w postaci waskiego walca”, o szuflki węgla „pewne kwantum kopaliny zdolnej wejść w reakcje dynamiczne”. Ze nazwy za obszerne? Tak właśnie klekocze każdy przedmiot rozważań Grzegorza Walczaka podany z renytu w za obszernym opakowaniu terminologicznym. Bynajmniej nie mam zamiaru analizować jego wypowiedzi, ale jeśli powiada, że „konotacja” to tyle, co „łączliwość”, jaki jest sens w wyrażeniu „konotacja łączliwościowa”? I po co wprowadzać termin „konotacja terejarna”, skoro ma oznaczać to samo, co istniejąca już „konotacja łączliwościowa”? (Nawiasem: cudo-wyrażenie.)

Kazimierz Koźniewski w artykule „Kto jest gospodarzem języka polskiego” („Literatura”, 9 III 1978) słusznie upomniał się o większy szacunek dla tego narzędzia komunikacji ze strony filologów. Słusznie Bo kto wie, czy nie jest to zachwaszczenie większe, niż ongiś przedmiejska gwara, niż obecnie dyskotekowy żargon. Te przynajmniej nie wchodzi w obręb języka... polskiego, „konotacje kategoriałne” mają sankcję „naukową”.

Wydawałoby się: cóż, oczyścimy tek-

sty z nadmiernie specjalistycznej terminologii, a zostaną dzieła cenne, w dodatku komunikatywne. Otóż nie. Zniknie wtedy cała ich „naukowość”. Istotą ich jest „szum informacyjny” sugerowany jako klimat intelektualny konieczny na tym „pietrze zagadnienia”. I tego szumu pod groźbą degradacji nie wolno uciszyć. Więc raczej ma Koźniewski wytykać współczesnym filologom złe gospodarowanie językiem polskim. Ale wytknąć trzeba niegospodarność również z punktu widzenia nauki Nauki, w której brak precyzji, ścisłości, konsekwencji, dystynkcji, ostrego widzenia przedmiotu, adekwatności słowa i rzeczy, krytycznego stosunku do rezultatów postępowania badawczego — to siedem grzechów głównych.

Niestety, można to dziś powiedzieć o językoznawstwie na całym świecie. Niedawno przeczytałem książkę „Znak, styl, konwencja” będącą zbiorem rozpraw na temat języka wśród systemu znaków, w wyborze Michała Głowiańskiego. Wypowiadają się tam (strach powiedzieć) klasycy współczesnej humanistyki i przedstawiciele młodego pokolenia. Za mało już zostało miejsca w tym liście i nie potrafię udokumentować, że co kilka stron to dowolność, ale niech się zmieści przynajmniej jeden przykład ilustrujący „stopień naukowości” współczesnych rozważań. Mówi Emilia Benveniste, ówce klasyk: „Typ funkcjonowania (systemu semiotycznego — przym. P.) jest relacją łączącą znaki i nadającą im funkcję dystryktywną”.

Sprawdzimy tę definicję na systemie o elementarnym poziomie, systemie światła ruchu drogowego:

— jego tryb działania jest wzrokowy, funkcjonuje na ośmiu w ciągu dnia i w otwartej przestrzeni;

— jego obszar ważności to ruch po-
jazdu na drogach;

— jego znaki utworzone są w chromatycznej opozycji zielony — czerwony (czasem z fazą pośrednią, przejściową, żółtą), a zatem jest to system binarny;

— jego typ funkcjonowania to relacja nanrziemności (nigdy równoczesności), ponieważ zielony — czerwony znaczy: droga otwarta — droga zamknięta, lub w formie zalecenia: go stop”.

Ach, Gombrowicz! Pocóż już umarł! Twój Pimko piszczałby do takich wykładów. A swoją drogą po co ja czytalem Bergsona, Kleinera, Ingardena. Przecież tam ani słowa o tym, co oznacza zielone, a co czerwone światło na skrzyżowaniu ulic. O tym informuje dopiero współczesna filozofia znaku, linwistyka, semiologia i semajologia.

Oto czym się staje teoremat semiologiczny, kiedy spada z niego szata napuszonej terminologii.

Protazy

parkowym szklanki pod warunkiem zwrotu tychże oraz dostarczenia opróżnionych butelek. Takie miała obywatki.

Na stacji u rodziny żył Tadeusz, lat 16, siostrzeniec Zośki, pochodzący ze wsi, chłopiec opryskliwy, mrukliwy i przyszczał, uczeń technikum budowlanego, mieszkający w kuchni. Żadna osobowość.

Bolek powiedział, że jest bez pieniędzy, a w dodatku nie ma czasu, bo musi jeszcze odrobić ostatnią zaliczkę, która mu się jakoś rozeszła. Więc jego nic nie obchodzi, byleby mógł oglądać telewizję wieczorami, gdy zmęczony powraca z pracy.

Zośka wrzeszczała jak zwykle. Ona jest tylko żoną Boleka, z którym, ma nadzieję, jeszcze uzyska potomstwo, w związku z czym należy się kłaść na tapczan bez względu na okoliczności. Jej tam nie przeszkadza.

Macocho powiedziała, że przez całe życie była narażona jedynie na poniewierkę, a teraz przynajmniej ma spokój, wyrko za kotara wyłączając dla siebie, i na tym kończy się jej rola.

Tadeusowi chodziło tylko o to, żeby mu nie zagrażała kuchnia, gdzie mieszka i za którą płaci czterysta złotych, a i tak Bolek trzyma tu swoje drabiny, pedzle i szpachle.

Kłopot rodziny polegał na tym, że osobisty tatus Boleka, lat 59, wozak, zmarł był (ponieważ samo życie jest szkodliwe) i leżał przez tydzień na stole w pokoju, albowiem nikt nie chciał go pochować. Oni bardzo się przyczyniali do tatusia i nie chcieli się z nim rozstać zbyt szybko.

pom



KACIK MALUCHA

Jeździmy rozważnie

ALE zanim zaczniemy jeździć, trzeba rozgrzać silnik. Czynność ta jest szczególnie istotna podczas zimowej eksploatacji pojazdu, kiedy to wskutek dłuższych postojów samochodu w niskiej temperaturze następuje zgęstnienie oleju w misce olejowej, co utrudnia zassanie go przez pompę olejową. Ruszając pojazdem nierozgrzanym, możemy doprowadzić do uszkodzenia silnika (głazki panewek oraz czopów wału korbowego).

A więc zapalamy silnik przy całkowicie wyciągniętej ssawce. Gdy zgasa, obie czerwone lampki na tablicy rozdzielczej, wówczas tylko*opuszczamy nieco ciężną ssanią i pozwalamy silnikowi nadal pracować. Jeżeli silnik reaguje prawidłowo na dodanie „gazu” można ruszać, a następnie po kilku minutach całkowicie opuścić ssawkę. Czynność ta zresztą są ważne nie tylko zimą, ale praktycznie po każdym dłuższym postoju, choćby po chłodniejszych nocach letnich.

Pewna serdeczność z naszej strony należy się sprzętowi. Niedodowodzenie kierownicy mają zwyyczaj trzymania podczas jazdy nogi na pedale sprzęgła, żeby w „razie czego” szybko móc go uruchomić. Nie należy tak robić, gdyż to jest właśnie powodem spalania okładzin tarczy sprzęgłowej. I druga sprawa. Stoimy pojazdem pod światłem czerwonym i za chwilę mamy ruszyć. Niektórzy, aby te czynności sobie ułatwić, trzymają cały czas pedał sprzęgła wciśnięty do oporu, zaś dźwignię biegów w położeniu jedynki. Nie bardziej błędnie. Przedstawiamy w ten sposób pracę lożyska sprzęgłowego, co prowadzi do jego urzędzowego zużycia lub nawet zatarcia. Pierwszym objawem niewłaściwej pracy sprzęgła są hałasy po wciśnięciu pedału.

Dbajmy również o hamulce. Pisałem poprzednio, iż nie należy nigdy gwałtownie hamować ze względu na przedczesne zużycie okładzin hamulcowych. Ponadto takie „kawaterskie” hamowanie może spowodować blokadę kół, zarzucenie pojazdu, a nawet pożar. Nie oszczędzajmy natomiast zbyt szybko hamulca ręcznego. Niektórzy kierowcy w ogóle unikają używania go, co prowadzi do zablokowania linki w panczeru, a w konsekwencji powoduje zniszczenie czy całkowitą nieużyteczność hamulca ręcznego, który przecież, edw musimy nieco dłużej postać samochodem pod górę, od-daje n'ocenione usługi.

I wreszcie, jeśli idzie o układ kierowniczy (zdrowie kierowcy zawsze jest ważne!) pamiętajmy koniecznie o smarowaniu zwrotnic kół, co w kilka minut dokona każda stacja obsługi (jeśli akurat mamy tam znajomości). Niesmarowane zwrotnice powodują zatarcie, co objawia się utrudnionym pokręcaniem kół kierownicy.

W myśl instrukcji obsługi — smarowanie zwrotnic trzeba przeprowadzać co 10 tysięcy kilometrów. Niestety, polskie smary temu służące nie zawsze posiadają właściwą jakość. Toteż lepiej te czynności przeprowadzać co 7-8 tysięcy. (I znów szczerze mówiąc, ważna sprawa w okresie zimowym czy jesiennym, kiedy właściwie przebiegi „miedzy-smarownicze” należy skrócić do pięciu tysięcy kilometrów).

Zbliża się lato i wielu kierowców wybiera się swoim maluchem na wczasy, ciekawie przyjechać. Jeśli już ktoś musi, niech będzie i tak. Tylko pamiętajmy, że ciężar przyrządów nie może przekraczać 400 kilogramów, zaś holowanie przyrządów samochodem (nieodpłatnie) przed przebiegiem 3 tysięcy kilometrów jest niedozwolone.

Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, iż eksploatacja samochodu z przyrządami (każdego samochodu, ale malucha szczególnie) obniża jego trwałość oraz zwiększa zużycie paliwa, nawet do 30 procent. Ponadto wydłuża drogę hamowania, zmniejsza przyrządność pojazdu, utrudnia manewr wprzodzenia i pokonywania wzniesień czy zakrętów, a co za tym idzie w dużym stopniu zmniejsza bezpieczeństwo jazdy.

W żadnym wypadku nie należy polecać holowania przyrządów kierowcom o bardzo krótkim stażu. Lepiej jeden sezon przeczekać. Szczególnie dotyczy to przyrządów kempingowej, znacznie łatwiej buluje się przyrządów tak zwane towarowe, niewiele jest stosunkowo wąski, które ostatnio w kilku wersjach pokazywały się na naszym rynku.

W każdym przypadku holowania przyrządów musimy zastosować odpowiednie hak holowniczy (z tym już w handlu gorzej), sorawdrony pod względem konstrukcyjnym szczególnie na zrywanie, żeby się w pewnym momencie nie okazało, że przyrząd w rowie, my zaś na drzewie razem ze swoim maluchem.

Inż. Krzysztof B.

POD PARAGRAFEM

Kłopot rodzinny

Układy w tej rodzinie zawsze nie-
co przekraczały wyobrażenia o ży-
ciu, jakie miały na przykład ur-
zędnicy pocztowi, ceniący sobie ład,
punktualność, mroźną pracowitość,
spokój, gimnastykę poranną, co-
dziennie mycie zębów i temu podob-
ne rzeczy.

Rodzina żyła w pokoju z kuchnią
w starym budownictwie, gdzie przed
bramami domów zawsze wystawały
jakiś ponure typy, akurat bezro-
botne, nieogolone, skacowane i takie
z grubszą toczną dialogi:

— Co tak stoisz i stoisz?

— Bo jak bym wiedział, że upad-
nę, to bym się polożył.

Ale mniejsza o anonimowe indy-
widua, które służą tutaj jedynie dla
oddania tak zwanej atmosfery ogól-
nej, czyli socjologicznej, psycholo-
gicznej, etnograficznej i demogra-
ficznej. Chodzi przede wszystkim o
konkretną rodzinę, podstawową ko-
mórkę społeczeństwa.

Bolek, lat 29, był malarzem poko-
jowym w robotach zleconych, ale
ostatnio miał coraz dłuższe kace
i coraz rzadsze zlecenia. Niewykluc-
zone, że między jednym a drugim
zachodził pewien związek przyczy-
nowy. W każdym razie Bolek pod-

upadał finansowo w związku z tym.

A z Bolekiem podupadła jego żona
Zośka, lat 25, o wykształceniu nija-
kim, dorabiająca sprzątaniem w in-
stytucjach państwowych i spółdziel-
czych. Osoba ta była znana sąsiadom
z kłótliwego i wrzaskliwego usposo-
bienia, uprost mistrzyni w tej dzie-
dzinie podobno. Używając określeń,
które nawet u okolicznych wozaków
wywoływały rumieńce na twarzach,
a przecie są to ludzie, co niejedno
w życiu słyszeli.

Bolek twierdził, że pije, ponieważ
Zośka nie może mieć dzieci, a cóż to
za małżeństwo, które nie pomnaża
szeregów ludzkości! Zośka nie nie
twierdziła, kłnęła tylko głośno, ponie-
waż szersza refleksja nad światem
nie leżała w jej upodobaniach. By-
ła to bowiem natura raczej empi-
ryczna.

Podobnie zresztą jak i macocha
Boleka, lat 56, zwana przez wszyst-
kich w rodzinie po prostu Maco-
cha, która rozkwitła głównie, gdy
miejskie zarządy zieleni zapotrzebo-
wały ludzi do porządkowania par-
ków, słusznie zwanymi publicznymi.
Swe zasadnicze zajęcia porządkowe
Macocho uzupełniała chaturą, wy-
pożyczając mianowicie pijaczkom

Demokracja

W jednym z nowych województw starzyła się taka sprawa. Dyrektor przybył do dyrektora terenowej szkoły. Bez specjalnej uroczystości, osarji, zapowiadana się, oficjalnego obiadu i tym podobnie. Po prostu przybył, żeby porozmawiać o sprawach szkoły i zapytać o zarowie dyrektora. Istotnie obawa, że tak jawny przypadek demokracji nie mógłby się zdarzyć w województwie warszawskim, które należy do województwa starych.

Próżnia rynkowa

Rynek motocyklowy nie zna próżni. Kiedy czegoś brak w sklepach państwowych permanentnie, wówczas prywatni producenci podejmują odpowiednie działania i towar pojawia się w sklepach prywatnych, tyle że wielokrotnie droższy. Można tu wymienić przykładowo rozmaite kapsle piaskowe do „malucha” czy przeguby do „ayreny”. Podobno istnieją województwa (niektóre), gdzie nie zlikwidowano przemysłu terenowego i tam sytuacja na rynku różnych deficytowych detali (nie tylko motocyklowych) jest znacznie lepsza. Więcej ich w handlu uspołecznionym i, oczywiście, tańsze. Wnioski zostawmy osobom kompetentnym.

Relacje

Renowacja fotela kosztuje w odpowiedniej spółdzielni pracy co najmniej około 1500 złotych, a polega na wymianie pokrycia. Nowy fotel można już dostać za 1400 złotych. Garnitur kupiony jako wyrób gotowy zawsze będzie tańszy niż podobnej klasy garnitur sztyt na miarę, a z kolei garnituru przycięwanego zawsze będzie tańsze niż jakiegokolwiek nowy garnitur. I to jest w porządku. Gdyby natomiast do zestawu z relacjami „fotelowymi”, coś się tu „absolutnie” spóźniać nie chce.

Bez pędzla i tłumacza

Krem do golenia — jak wiadomo — nakłada się na twarz pędzlem i następnie rozprowadza po twarzy tymże pędzlem. Bywa, że i inne kremy. W sklepach kosmetycznych i kioskach „Ruchu” pokazał się krem węgierski, ale — wiadomo — język

Dla kronikarza, który w 2078 roku będzie redagować rubrykę PRASA SPRZED STU LAT PISAŁA

węgierski jest bardzo niewiele ludziom znany. Każdy więc mężczyzna, który kupił ten krem, postępuje z nim tak, jak z każdym innym — kinie, bo nie chce się on mydlić.

Tymczasem na tubie tego kremu jest napisane, ale tylko w tym trudnym języku, że używa się go bez pędzla i wody. Cóż z tego, że napisane, jeśli nie powiedział o tym importer i nie uprzedzają sprzedawcy. Nie każdy ma znajomego tłumacza, który przetłumaczyłby na polski sposób użycia kremu „Coala Rapid”.

Konkurs z błędem

Cały szereg instytucji kulturalnych Rzeszowa wraz z ZG i ZW ZSMP oraz redakcją „Poerji” ogłosiło I Ogólnopolski Konkurs Poetycki „PATRA-78”. Nagrody 3, 4 i 5 tys. złotych oraz wyróżnienia po 1500 zł. Wyróżnione wiersze będą opublikowane w „Poerji” i Almanachu wydanym przez organizatorów konkursu. Termin nadsyłania zestawów złożonych z 1-3 wierszy upływa 30 czerwca br. Należy je nadsyłać podpisane godłem z dołączoną zalakowaną kopertą z godłem, która powinna zawierać imię i nazwisko oraz dokładny adres autora, pod adresem ZW ZSMP PL, Zwycięstwa 7, 43-002 Rzeszów.

Tyle o samym konkursie, ale w regulaminie jego popełniono ten błądki błąd, by nadsyłać na adres. Gdyby to był konkurs w dowolnej dyscyplinie handlowej, produkcyjnej, sportowej itp. można by błąd językowy w regulaminie wybaczyć, ale niech przynajmniej autorzy regulaminów konkursów literackich szanują język, który jest ich głównym orężem.

Corn flakes

Popularne na całym świecie płatki kukurydziane, bardzo smaczne z mlekiem, z dużą owocową i wielu innych formach, zaczę-

ły produkować w Polsce. Coraz częściej można je też znaleźć w lubelskich sklepach. Na opakowaniu jest nawet ich angielska nazwa „corn flakes” i polska „Płatki śniadaniowe”.

Jeden z braci Kamenowiczów był świadkiem takiej rozmowy w jednym z samowsporyczych w Lublinie. Klientka pyta: „Czy są płatki kukurydziane”, ekspedient ki twierdzi, że nie ma. Gdy wspomniany brat zwrócił jej uwagę, że właśnie przy nich stoi, odrzekła, że są to płatki śniadaniowe. Oj, coś kiegoś ze znajomością towaroznawstwa wśród młodej kadry sprzedawców.

Gorsze niż przed stu laty

„Ekspres Wieczorny” zdemonstrował w nr 91 oryginalną metodę krytyki. Krytykuje mianowicie się jakosie kart do gry, zwłaszcza szybkie rozkładanie się, produkowanych przez Krakowską Fabrykę Kart do Gry, a jednocześnie przedstawia na zdjęciach głównego winowajcę — Jana Buczkę, dyrektora rzeczonoj fabryki, jako miłośnika i kolekcjonera kart. Bardzo zobowiązujące a jednocześnie nietuzinkowe. I przedmiot krytyki też wart zainteresowania, jako że rozmaite karty rzeczywiście do gry nadają się tylko z nazwy. Oprócz rozkładania się można w nich znaleźć cały szereg innych wad, np. „pieprzyki”, zalamania, skazy. Jeden z braci Kamenowiczów dysponuje kartami ukraińskimi sprzed stu lat i austriackimi sprzed pięćdziesięciu lat. Obie talie, jak łatwo się domyślić — kartonowe, są jeszcze w użyciu, podczas gdy produkowane obecnie w Krakowie nawet przy rzadkim użyciu nie wytrzymują roku.

Ile ludzi?

„Sztandar Ludu” z 22-23 kwietnia br. podał następującą informację: „Jak wynika z danych nowego wydania rocznika ONZ, w czerwcu 1977 r. na kuli ziemskiej żyło już 4,944,900,000 ludzi — o 77 mln więcej niż dwa lata przedtem. Odpowiada to rocznej stopie przyrostu rzędu 1,9 proc. Gdyby taka dynamika przyrostu nadal się utrzymywała, to w roku 2012, a więc za 35 lat, pokonana została by granica 8 miliardów ludności świata”. W trzy dni później (23.04. br.) tenże „Sztandar” pisał: „Opublikowany w Nowym Jorku już po raz 25 Rocznik Statystyczny ONZ informuje, że w 1976 r. świat zamieszkiwało 4,4 mld osób. Liczba mieszkańców ziemi wzrasta o 1,9 proc. rocznie, czyli o 78 mln, z czego wynika, że do 2012 r. ludność globu ziemskiego wzrośnie dwukrotnie i wyniesie 8,3 mld osób”. Coś nam tu się nie zgadza. Proponujemy zatem zamieścić jeszcze jedną informację i zając określenie — tym razem zgodne z Rocznikiem Statystycznym ONZ — stanowisko.

wych Lubelszczyzny z Fabryką Samochodów Ciężarowych, Wytwórnją Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku oraz Lubelskim Zagłębiem Węglowym w budowie — na czele, to Forum ostatecznie stanęło mocno na nogach. Zaczynano od szesściu filmów konkursowych i niewielkiej liczby imprez towarzyszących — dzisiaj mamy już osobne nagrody dla filmów fabularnych, dla filmów dokumentalnych i dla filmów animowanych. W tym roku po raz pierwszy w plebiscycie widzów będzie oceniany także film zachodni, francuski. Może w przyszłości stanie się to podstawą do rozszerzenia formuły Forum również o udział filmów o pracy — z krajów spoza naszego obozu?

Film polski będzie w tym roku reprezentowany przez fabularne: „Pejzaż horyzontalny” Janusza Kidawy oraz „Próbę wody i ognia” Włodzimierza Olszewskiego. Bułgaria przystępuje do plebiscytu z „Rokiem z samych poniedziałków” Borysa Punczewa, Czechosłowacja — z „Drzwiami otwartymi” Josefa Miedweda, Rumunia — z „Zieloną, rodzinną trawą” Steve Gulea. ZSRR reprezentuje „Sprzężenie zwrotne” Wiktora Trygubowicza, Węgry — „Akcent” Ferencza Kardasza, a Jugosławie — „Zapach ziemi” Dragovana Jovanovicia. Warto wspomnieć, że ten ostatni film jest właściwie koprodukcją polsko-jugosłowiańską. Reżyserował go twórca głośnej „Dziewczyny z gór” ale np. autorem zdjęć jest Waclaw Dybowski, muzykę skomponował Czesław Niemien, a główną rolę, Łukasza, kreuje Karol Borowiec, którego dobrze pamiętamy z okresu pobytu, przed kilku laty w zespole lubelskiego teatru dramatycznego.

Przypomnijmy, że ubiegłoroczne Forum (podczas którego Grand Prix w kategorii filmów fabularnych przyznano Bohdanowi Porębie za „Gdzie woda czysta i trawa zielona”, a w kategorii filmów krótkometrażowych Witoldowi Zukowskiemu za „W garncarskim rodzim”) miało swój dodatkowy, szczególny wydziałek: zaprezentowano na nim m.in. krótkometrażowy film Andrzeja Piekutowskiego „Lucjana Stysia, wzięciem wzięciem” (nagrodzony srebrnym medalem) mówiący o przemianach jakie niosie we wsi Bogdanów budowa na jej terenach Lubelskiego Zagłębia Węglowego.

Skoró mowa o przygotowaniach, to warto odnotować, że wśród licznych organizatorów Forum, zawsze z końcem kwietnia zabiera się do pracy także niewielka, od pięciu lat prawie w niezmiennym składzie, grupka ludzi, w większości związanych z prasą lubelską: Zbigniew Miazga, Janusz Malinowski, Andrzej Molik, Zbigniew Kochańczyk, Leszek Kosiński i Edward Kutermarkiewicz. Gromadzą materiały, załatwiają serwis fotograficzny, drukarnię, organizują telexy, urządzają biuro prasowe, „organikują” autorów aż w końcu, w ciągu kilku owych kulminacyjnych majowych dni i nocy, powstaje z tego wydawane każdego ranka pismo „Forum — Informator”.

Jak zaprezentuje się bieżące Forum, przekonamy się już za kilka dni. Tymczasem pozostaje tylko życzyć publiczności dobrych projekcji, a twórcom pomysłowych wyników plebiscytu.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Argumenty, które — odpięrajac zdanie „Gazety Warszawskiej” — a broniąc założenia w Lublinie przez drogę żelazną Nadwiślańską szkoły technicznej — wypowiedzieliśmy, podziela z nami „Gazeta Polska”, dodając od siebie jeszcze jeden wzgląd bardzo ważny w praktyce, wzgląd uczniowy. Gdyby była jedyna tylko szkoła, to do niej zgłosziliby się tyłu chłopców, że nie pomieszczenia by ich, chociaż utworzona by w każdej klasie dwa oddziały, a także zbiegowisko podnoszoby w Warszawie ceny utrzymania i dozoru bardzo wysokie.

Z dwóch listów, otrzymanych w tym przedmiocie, przekonujemy się, jak stanowczy jest tu wzgląd na ceny.

Piszący pytają nas, kiedy szkoła techniczna otwarta zostanie w Lublinie, wysła tam swoich synów i są pewni, że ich utrzymanie kosztowałoby znacznie mniej, aniżeli w Warszawie, na Warszawę fundusze ich nie wystarczają.

„Gazeta Lubelska”

PRZED 50 LATY

Lubelski Komitet Wojewódzki L.O.P.P. jeszcze w roku ubiegłym powzięła myśl zorganizowania w Lublinie Aeroklubu na wzór podobnej instytucji istniejącej w Warszawie. Jako cel wysuwa się na czoło zagadnienie zainteresowania młodzieży najszerzego grona osób bądź to pracujących już czynnie w dziedzinie lotnictwa, bądź też pracy tej pragnący się poświęcić.

Aeroklub, jako jedno ze swych naczelnych zadań będzie miał popieranie rodzimej wytwórczości i wynalazczości w dziedzinie lotnictwa, popularyzacje wiedzy lotniczej i przygotowanie odpowiednio dużo wyszkolonych kadr pilotów i mechaników lotniczych.

Cel ten zostanie osiągnięty przez wygłaszanie fachowych odczytów i przez zakładanie szkół lotniczych oraz organizowanie kursów. Obecnie prace zmierzające do organizacji Aeroklubu w Lublinie są już na wykończeniu.

W dniu 7 bm. odbyła się w Izbie Przemysłowo-Handlowej konferencja w sprawie zorganizowania w Lublinie wytwórni wedlin dla celów eksportowych.

Konieczność założenia takiej wytwórni uzasadnił p. dr Holenberg oraz p. Kolodziejski, który wygłosił referat. Referat wskazał na konieczność wzmożenia eksportu polskich wedlin, rozwijającego się pomysłnie przed wojną, a znacznie zahamowanego w ostatnich czasach. Rynkami zbytu do tego artykułu są obecnie: Włochy, Francja, Szwajcaria i kraje skandynawskie. Celem rozwinięcia eksportu wedlin do tych krajów, konieczne jest powstanie jednego wielkiego warsztatu, który byłby zdolny sprostać wymogom importerów zagranicznych.

Następnym nadzwyczaj ważnym zagadnieniem dla naszego eksportu jest konieczność ujednostajnienia naszej produkcji wedlin za pomocą standaryzacji gatunków eksportowych.

Konferencja wypowiedziała się zasadniczo za utworzeniem w Lublinie fabryki wedlin, przy czym akces swój zgłoszili obecni przedstawiciele przemysłu wędlinarskiego w Lublinie.

„Ziemia Lubelska”

Jedną z tywych, a zbyt widocznych bolączek estetycznych naszego miasta — to jego parkany. Rzadko spotkać można, zwłaszcza wśród miast, mających nieodmiennie pretensje — takie bogactwo niechlujstwa, jakie w plamach swych stylu zaniechaniu przedstawia oparzenie ulic lubelskich. Od tej wady nie są wolne i ulice śródmieścia. Poza tymi szafasami, chyłkami się często ku ruinie, rozkłada się czesto smietnisko, niewidoczne, a odczuwalne nosem przedmiotów. Skoró się przystąpiło do „remondu” kamienie nie od rzeczy będzie przypomnieć i skandaliczny stan zaniechania naszych parkanów. Niech estetycy miejscy opracują plany, niosąc pomoc w podniesieniu linii estetyki miasta. Należy również podnieść sprawę ogródków, skoro istnieje ku temu warunki przed frontem domów. Ta strona osobdy jest w naszym mieście zupełnie zaniedbana. Podkreślamy, że w innych miastach, daleko mniejszych, ta sprawa wzięta została w troskliwą opiekę, a w Warszawie roztoczyła nad nią czujność władza Min. Spraw Wewnętrznych.

„Głos Lubelski”

Wybrała: Anna Orzechowska

M. D.

akran IWICZ

5 x Forum

KIEDY piszę ten felieton, trwają jeszcze ostatnie przygotowania do lubelskiego, corocznego Międzynarodowego Forum Filmowego „Człowiek — Praca — Twórczość”, które będzie trwało od 16 do 20 maja. Krytycy filmowi i naukowcy kończą referaty na „forum dyskusyjne” — jedną z najistotniejszych, najważniejszych części lubelskiej imprezy, bo rozważającej problem „humanistycznego pojęcia twórczej aktywności ludzkiej służącej przekształceniu rzeczywistości”, głównego hasła Forum — kończą się prace organizacyjne w pięciu, poza Lublinem, przemysłowych ośrodkach województwa. Już od 3 maja będą się tam odbywały przeglądy uczestniczących w Forum filmów. Wzorem poprzednich lat, nagrody przypadną tym filmom, które otrzymają największą liczbę głosów w plebiscycie widzów odbywającym się od 3 do 15 maja, właśnie we wspomnianych ośrodkach robotniczych: w Lublinie, Puławach, Lubartowie, Kraśniku, Świdniku i Poniatowej. W tym czasie będą się także spotykać z widzami twórcy filmowi, krytycy, działacze, znani aktorzy. Tak więc można powiedzieć, że Forum rozpocznie się właściwie na początku maja, a jego ukoronowaniem, ostatnim akordem, będzie czte rodzinowa impreza w Lubelskim Domu Kultury zakończona wręczeniem nagród.

Forum z każdym rokiem nabiera rozmachu. Zaczynało się przed pięcioma laty w Świdniku, projekt imprezy zrodził się wśród działaczy ZMS z klubu „Iskra” i pracowników Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, członków Robotniczego Dyskusyjnego Klubu Filmowego. Towarzyszyło temu zaangażowanie dyrekcji świdnickich zakładów oraz Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie. W następnym roku Forum przeniosło swoją główną siedzibę do Lublina dysponującego odpowiednim zapleczem kinowym i hotelowym, a zarazem „wyszło” w teren, rozpraszając się do kilku miast województwa. Wtedy to właśnie zaczęła nabierać właściwego kształtu idea Forum jako imprezy naprawdę masowej, przebiegającej w ramach akcji „Sojusz Świata Pracy z Kulturą i Sztuką”. W przeglądach filmowych w plebiscycie widzów brało udział po kilkanaście tysięcy osób.

I chociaż przeżywało Forum także swoje lata chude, a organizatorzy spotkali się z niejednym słusznym głosem krytycznym, to przecież ostatnia, ubiegłoroczna impreza, wspierająca się o patronat m.in. 11 wielkich zakładów przemysło-

SZPALTA O SPORCIE

KRZYŻÓWKA (nr 10)

EKSTRAKLASA piłkarska za kończyła rozgrywki. Krakowska Wisła mistrzem Polski — głoszą tytuły gazet sportowych i prasy codziennej z 3 maja. Tak więc przed finałami mistrzostw świata blisko dwa miesiące wcześniej niż zawsze mamy wszystkie rozstrzygnięcia ligowe. Obok Wisły miejsca premiowane udziałem w rozgrywkach europejskich pucharów wywalczyły Śląsk i Lech. Ekstraklasę opuścili, o czym było wiadomo już wcześniej, wiele zasłużonych dla polskiego piłkarstwa Górnik, oraz mimo efektownego zwycięstwa w ostatnim meczu bydgoski Zawisza, który znalazł się wśród czterech drużyn mających po 27 punktów, ale w tak zwanej małej tabeli — bilansu punktów i bramek zdobytych w spotkaniach tych właśnie drużyn — znalazł się na ostatnim miejscu. Ten sam przepis regulaminu zdecydował, że Legia która strzeliła 10 bramek więcej niż straciła, została wyprzedzona przez LKS dysponujący remisowym bilansem bramkowym.

Wisła, która objęła prowadzenie w tabeli ligowej już po drugiej kolejce spotkań, nie oddała go do końca. Jest to piąty, a po wojnie trzeci tytuł mistrzowski tej 72-letniej drużyny. Z tym większą satysfakcją gratulujemy jej, że ta sympatyczna i bardzo krakowska drużyna opiera się przede wszystkim na własnych wychowankach w przeciwieństwie do wielu innych, które budują swe ligowe składy na zawodnikach kupowanych w całym kraju.

Sukces Wisły uzupełnia osiągnięcie Kazimierza Kmiecika, który został królem strzelców ekstraklasy.

Przebieg tabeli ligowej, w której różnica między trzecim LKS a piętnastym Zawiszą wynosi tylko cztery punkty, potwierdza to, co kibice piłkarscy przeżywali w czasie każdej kolejki rozgrywek, czyli emocje związane z wielkim wyrównaniem poziomu drużyn ligowych. Jest to zjawisko jak najbardziej pozytywne. Świadczy, że coraz więcej mamy piłkarzy, którzy mogą wejść do kadry narodowej i wymienić starzejących się, choć doświadczonych, reprezentantów Polski i na mistrzostwach w Monachium i igrzyskach olimpijskich w Monachium i Montrealu.

Jest to tym bardziej ważne, że Komitet Wykonawczy FIFA zaleca niedopuszczenie do udziału w turnieju olimpijskim w Moskwie piłkarzy, którzy uczestniczyli w eliminacjach i finałach mistrzostw świata. Wprawdzie nie jest to decyzja ostateczna. Kongres FIFA w Buenos Aires przyjął lub odrzucił to zalecenie, ale odpowiednią kadry do ewentualnej drużyny olimpijskiej powinniśmy mieć w zanadrzu.

Teraz czekamy na start naszych piłkarzy w finałach mistrzostw świata. Liczymy na sukcesy kadry narodowej przedstawionej ostatnio przez Jacka Gmocha. Ostatni sorawdzian z Bułgarią pokazał, że forma naszych reprezentantów zwyknie.

A zaraz po Mundial-78 czekają nas nowe emocje. Zaczynają się bowiem eliminacje do mistrzostw Europy, do których nie mamy szczęścia. Trudniej tam znaleźć się w finale niż w mistrzostwach świata, bo w finałach mistrzostw świata uczestniczy osiem lub dziewięć drużyn europejskich i aktualny mistrz świata, a w mistrzostwach Europy tylko siedem i ostatni zdobywca tytułu.

W eliminacjach do mistrzostw Europy Polska znalazła się w grupie czwartej wraz z Holandią, NRD, Szwajcarią i Islandią. Drużyna nasza inauguruje rozgrywki w grupie meczem z Islandią 6 września, który przebiegać będzie na wyjeździe, 15 listopada spotkamy się w Polsce ze Szwajcarią, 18 kwietnia przyszłego roku wyjeżdżamy na mecz z NRD, a 2 maja gościć będą drużyny z Holandii. Mecze rewanżowe odbędą się w wrześniu i październiku przyszłego roku.

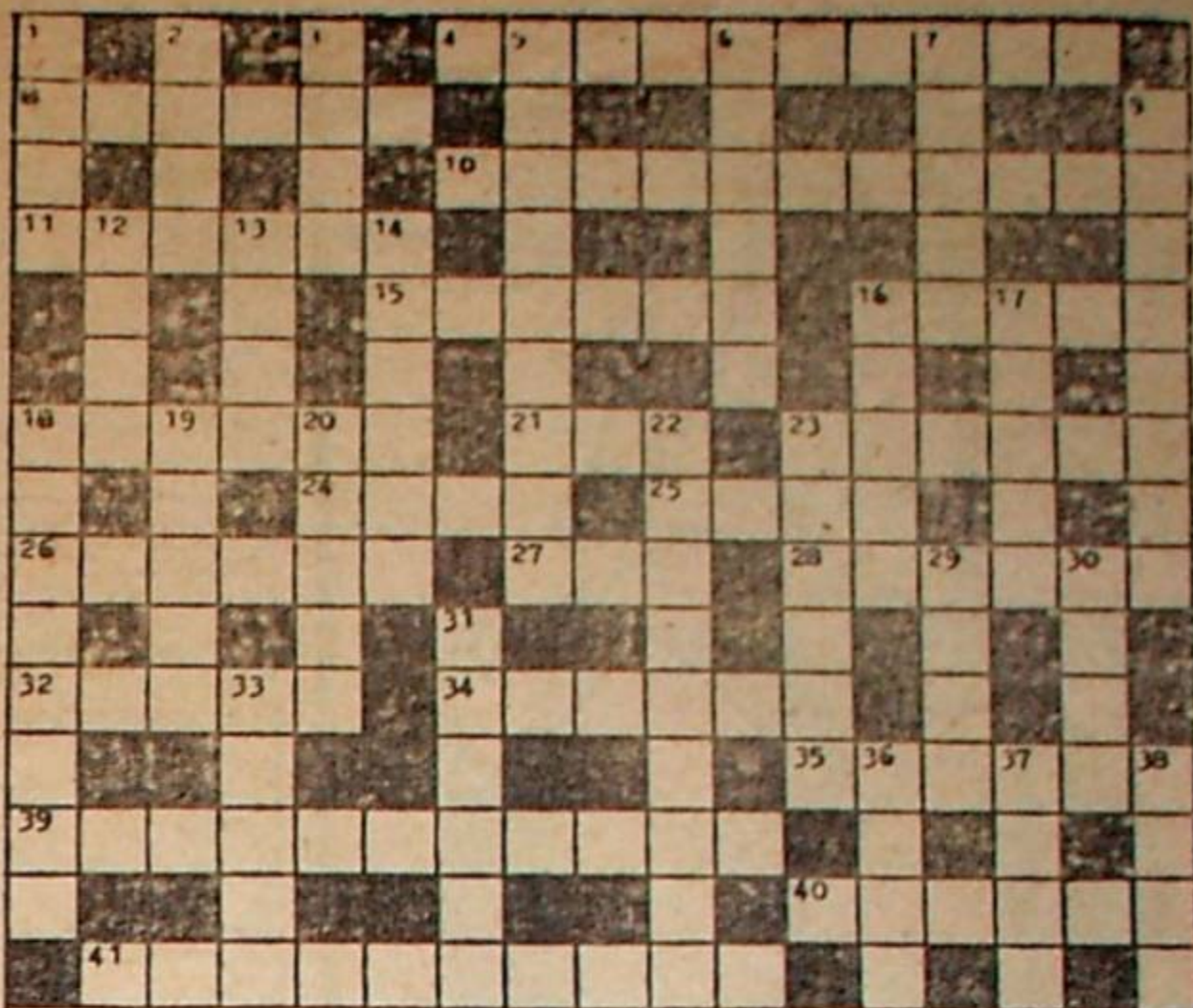
Oprócz tego czekają nas eliminacje do turnieju olimpijskiego, których przed ostatnimi igrzyskami nie przeżyaliśmy, korzystając z przywileju mistrza olimpijskiego. Teraz trzeba będzie o udział w turnieju olimpijskim walczyć.

lgw

POZIOMO: 4. założyciel biblioteki i wydawnictwa mieszczańskiego nie obecnie we Wrocławiu, 8. wyrabia wędliny, 10. prawdziwe nazwisko Beotymy, 11. mała potoczna jednostka plynu, 12. hotelkowanie, 16. mowa niewiązana, 18. uroczysty pojazd konny, 21. od zmierzchu do świtu, 23. drzewo owocowe, 24. pierwsza linia drużyny piłkarskiej, 25. nie, 26. opłata dzierżawna, 27. spółnikowe piwo, 28. dodyw Jeniseju słynący wielkimi elektrowniami wodnymi, 32. do czesania na głowie, 34. słynna Ordona, 35. cesarz rzymski, którego kolumna, termy i forum są do obejrzenia w Rzymie, 39. pisarz współczesny, autor „Zazdrości i medycyny”, 40. ocenia cudzą twórczość, 41. kandydat do zawodu próbujący w pracy swe umiejętności.

PIONOWO: 1. zył w grocie pod Wawelem, 2. stolica skandynawska, 3. monarcha, 5. wybitna reżyserka, współtwórczyni teatru w Nowej Hucie, 6. wysoki procent, 7. pseudonim Ignacego Maciejewskiego, 9. sankrycki epos tycerski, najpopularniejszy utwór literatury indyjskiej, 12. miejsce oczekiwania statków na wejście do portu, 13. ziemia orna, 14. działło, 16. miejsce dla ludzi na stacji kolejowej, 17. druga strona topora, herb polski, 18. współczesny pisarz polski, oficer II Armii WP, 19. jazda okrężna, 20. polskie i słowackie góry, 22. rosyjski badacz polarny, którego imię nosi przylądek i lodolamacz wstawiony wielką akcją ratowniczą, 23. ręczny pocisk, 25. studio muzyczne radia i telewizji polskiej, 30. wieś w woj. zamojskim znana z walk w czasie wysiedlenia ludności Zamojszczyzny, 31. wydawca wielu pięknych albumów architektury i malarstwa, 32. wiele kolejnych strzałów, 36. przewód plynów i gazów, 37. surowiec na worki, 38. bogini zwycięstwa.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950



Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązane krzyżówki z nr. 8

POZIOMO: Białoszewski, uran, elf, skiba, Amor, auto, arkuś, dziedzic, owca, napis, skand, Ruch, Dziwożona, szpieg, Kwał, cyrk, larwa, Szal, Kondratowicz.

PIONOWO: Mickiewicz, komar, Rzewuski, gwiazda, pierzeja, lufa, Kant, Baranów,

Uri, zadruga, Czechowicz, polczyka, Kasprzak, kaskada, iwa, Eliot, Waza, igła.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 8 bony książkowe po 40 zł za każdy wylosowali: Krzysztof Bączkiewicz 22-600 Tomaszów Lubelski, Bohdan Hienkowsk 28-225 Lublin, Droga Męczenników Majdanka 13/1, Zofia Tchorzewska 26-217 Lublin, Gospodarcza 2/18.



ZŁE OBYCZAJE

Nie wiem, czy Was to zainteresuje, ale skoro pisujecie o handlu, to chyba tak. Jakiś czas temu pokazały się w lubelskich sklepach „Jubiler” bardzo gustowne bransolety do zegarków, wykonane ze srebra przez warszawską firmę „Warmet”. Chociaż kosztowały 450 złotych, szybko zniknęły ze sklepow. Udało mi się taką bransoletkę nabyć. Niestety, po pewnym czasie pękło w niej ogniwko, co zresztą może się zdarzyć, i musiałem zakupić do sklepu, gdzie oświadczyli mi, że za dwa tygodnie reklamacja zostanie załatwiona. Jak na razie — wszystko w porządku. Po dniu tygodniach dowiedziałem się, iż mogę otrzymać zwrot pieniędzy, ponieważ „Warmet” nie nadesłał, bo nigdy nie ma takiego zwyczajem, nowej bransolety na wymiar. Uważam tego rodzaju obyczaj handlowy za skandaliczny.

JAN MIZIURA
Lublin

CZYJE BOISKO?

W „Kurierze Lubelskim” z 10 kwietnia br. ze zdumieniem przeczytałem na sportowej stronie notatkę o konflikcie

między administracją osiedla im. Słowackiego, a klubem sportowym „Budowlani”. Konflikt ten polega na odmowie ze strony administracji prawa do korzystania z boiska przy ulicy Balladyny członkom sekcji rugby na czas ich treningów przed spotkaniami ligowymi.

Argumentacja klubu, że ich boisko nie może być niszczone treningami, a boisko przy Balladynie znakomicie te treningi umożliwia, stanowi pretekst do ataku na społeczność osiedla. Tak jest, na społeczność osiedla im. Słowackiego. Bo boisko to ta społeczność własną pracą zbudowała, aby dzieci z osiedla, przeganiane podczas zabaw w miejscu nie miejsce, te zabawy mogły bezpiecznie prowadzić na terenie obiektu do tego celu przygotowanego. To nie jest obiekt sportowy, dla prowadzenia działalności sekcji wycieczkowej klubu sportowego, a przynajmniej do tego celu nie był przygotowany.

W dalszym ciągu autor notatki rozdziera szaty nad nieświadomością społeczną kierownika administracji, który z racji swego stanowiska odpowiada przed mieszkańcami osiedla za prawidłowe funkcjonowanie wszystkich jego atrybutów urbanistycznych i infrastruktury czasu wolnego. Nie wie tylko, że tenże kierownik osiedla sam przy budowaniu tego boiska wiele swego własnego czasu spędził nie jako wydający polecenia, ale z zakasanyimi rękawami robił łopatą. Dziwi mnie, że dziennikarz, który z racji swego zawodu zobowiązany jest do rzetelności relacji obwarowanej etyką dziennikarską, nie rozmawiał z nikim z mieszkańców ani faktycznych użytkowników tego obiektu (dziećmi), co sądzi o praktykach klubu sportowego „Budowlani”; a przecież te dzieci kiedyś z tego klubu będą czerpać wartości również wychowawcze (może się mylę). Nie jest bo-

wiem działalnością wychowawczą zamieszkanie tego typu notatek czytających krzywdę społecznej postawie ludzi, którzy swój zapal chcą poświęcić pracy na rzecz miejsca zamieszkania.

A. R.
Nazwisko i adres
znane redakcji

„KACIK MALUCHA”

Szanowna Redakcjo!
Jestem posiadaczem Fiata 126 p i z radością powitałem „Kacik malucha”, jaki zaprowadziliście w „Kamieniu”. Myślę, że pisanie na owe tematy nigdy nie jest za wiele. Martwi mnie tylko jedno. W pierwszym „Kaciku”, jak i zresztą w kilku poprzednich numerach, znajduję kłopotliwie uwagi pod adresem lubelskiego „Polmożbytu” i są to zarzuty nie zawsze uzasadnione. Oczywiście, występują takie czy inne kłopoty podczas eksploatacji „malucha”, ale winna to głównie producenta, nie zaś „Polmożbytu”, który jest tylko handlowcem. To pierwsze. Po drugie — po ostatnich reorganizacjach bardzo się poprawiła jakość i terminowość usług na stacjach „Polmożbytu”. Korzystam z usług placówki przy ul. Wojciechowskiej w Lublinie i jestem zadowolony. Zaznaczam przy tym, że nie mam tam znajomości, przejeżdżam jako normalny klient i jako normalny klient jestem obsługiwany. Proszę nie ujawniać mojego nazwiska, w przeciwnym wypadku ktoś mógłby pomyśleć, że tą drogą zamierzam się załatwić jakąś prywatnie. Chcę jednak, abyście znali moje zdanie, które — jak mi się wydaje — jest wyrazem również opinii innych klientów „Polmożbytu”.

Nazwisko i adres
znane redakcji

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Berchys-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasłowski, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje Oddział RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:

— do 25 listopada na styczeń, i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następny.

— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78 —

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIAZKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie W. dawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 1123

Numer lamali Mieczysław Psujek i Tadeusz Słoboda, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kuredy

Nr indeksu 36251

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nac., dział publicystyki i literacki 273-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

TANIO JAK BARSZCZ - 3 ZŁ

NOS

Wydanie specjalne
bogato ilustrowane!



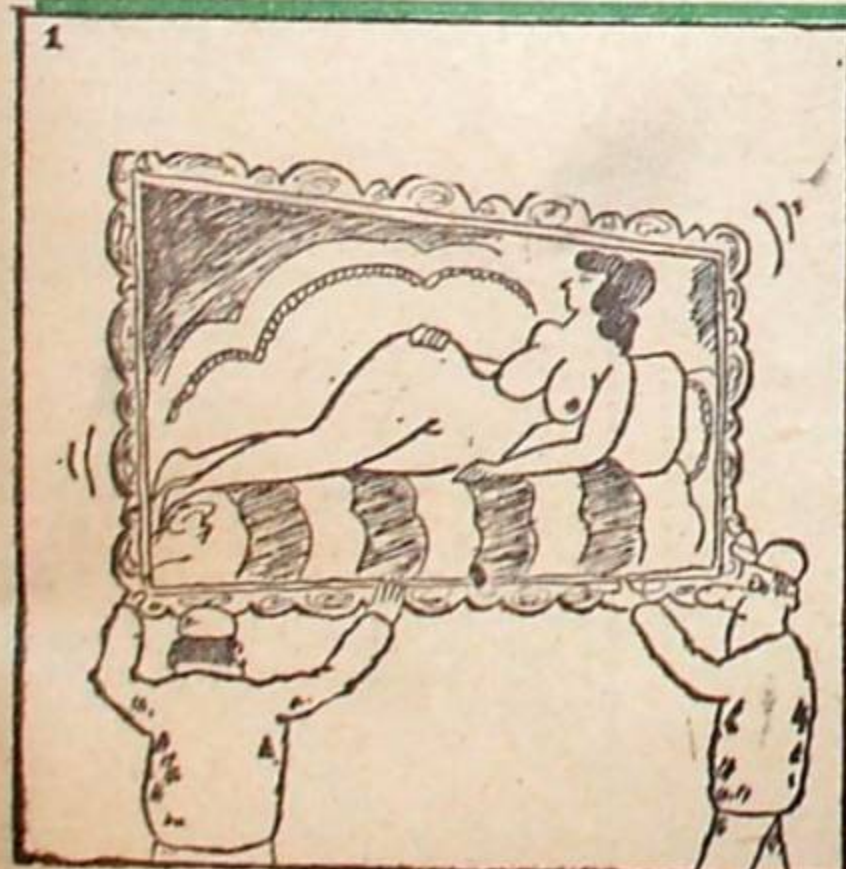
Foto-collage: Marek Stankiewicz Rys. Andrzej Kot



Rys. Andrzej Stok



Rys. Jacek Hordejuk



Rys. Waldemar Ruść



Rys. Mieczysław Bukowczyk

W NASTĘPNYM
„NOSIE”
WAŻNE INFORMACJE
Z PIERWSZEJ RĘKI



Rys. Józef Jurczyszyn

2205 2552/1978/10